Z dzienników i wspomnień Józefa Czechowicza — str. 3, 8, 9, 11

ЖОВТЕНЬ — str. 4

Romuald Wiśniewski Sztuka nakręcania — str. 5

Janusz Danielak Zbyt długa zima — str. 9

CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 31.VIII.1966 Nr 16 (349) R. XXXIII DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

CZECHOWICZ: wstęp do autobiografii

TADEUSZ KŁAK

OBRAZ dzieciństwa i wczesnej młodości Józefa Czechowicza pozostaje do dzisiaj bardzo niejasny. Najwięcej na ten temat powiedział Wacław Gralewski w szkicu „Stanąłem na ziemi w Lublinie" („Kamena" 1959, nr 19/20), ale oprócz faktów ustalonych i skonfrontowanych z dokumentami sią tam także informacje niepełne, a nawet nie całkiem ścisłe. Gralewski próbował przedstawić sytuację rodziny Czechowiczów, przekazując sporo cennych szczegółów — z własnej pamięci i relacji osób znających rodzinę poety. Po raz pierwszy obszerniej ujawnił tragedię ojca Czechowicza, która prześwieca z niektórych wierszy autora „Kamienia". Był to temat, którego poeta w rozmowach z przyjaciółmi nigdy nie podejmował. Ojciec był więc we wspomnieniach nieobecny. Natomiast wielką miłość okazywał Józef Czechowicz swej matce, poświadczając to w paru wierszach, m. in. w „jedynej".

Utarło się od dawna przeświadczenie, dał mu wyraz i W. Gralewski we wspomnianym szkicu, że rodzice Czechowicza pochodzili z Krzczonowa. Bodaj pierwszy o tym pisał ks. L. Zalewski w nocie w Antologii współczesnych poetów lubelskich, wskazując na możliwość pokrewieństwa Józefa Czechowicza z Marcinem Czechowiczem, pisarzem ariańskim pochodzącym z Krzczonowa. Źródłem tej informacji był zapewne sam Czechowicz. Tak przedstawiony rodowód wyglądał bardzo interesująco, nawet jeśli nie wszyscy traktowali go całkiem serio. Dawało to nawet okazję do żartów lubelskim bibliofilom. W „Nowościach lubelskich", wydanych w 1931 r. nakładem J. Czechowicza i S-ki jednemu z uczonych przypisano następujący tytuł: „Od Marcina Bielskiego do Konrada Bielskiego i od Marcina Czechowicza do Józefa Czechowicza." Kto wie, czy autorem owego pomysłu nie był sam poeta. Podkreślanie tego pokrewieństwa było Czechowiczowi z jakichś względów potrzebne, odpowiadało też mitotwórczej postawie poety, który jeszcze w 1920 r. w zeszytach z przepisanymi wierszami kaligrafował nazwisko właściciela. Był nim Józef Ostoja — Czechowicz.

Ale nie chodzi tu o sporządzanie pełnej genealogii autora „nuty człowieczej". To raczej przypomnienie pewnych faktów, aby lepiej zrozumieć doniosłość publikowanego obok tekstu Czechowicza, który znajdzie się w tomie prozy i dramatów poety. Tom ten, opracowany przez Wacława Mrozowskiego, opublikuje w roku przyszłym Wydawnictwo Lubelskie. Oryginał tekstu znajduje się obecnie w zbiorach organizowanego Muzeum Józefa Czechowicza. Obejmuje on 11 stron maszynopisu, przeważnie na papierze kartonowym, ponumerowanych ołówkiem, być może przez samego autora.

(Dokończenie na str. 3)

KONTEKSTY BIAŁOSZEWSKIEGO

ZDZISŁAW JASTRZĘBSKI

W 29 i 30 n-rze „Kultury" ukazał się szkic A. Sandauera o twórczości Białoszewskiego „Poezja rupieci". Jest to chyba pierwsze tak zasadnicze ujęcie, budzące wszakże zarazem sprzeciwy. Polemiki domagałyby się choćby rozważania wstępne, wątpliwości nasuwa eksponowanie ideologii peryferii, dezorientuje metoda (nie wiadomo, czy jest to relacja z wizyty u autora, czy interpretacja jego wierszy). Zamiast jednak bezpośredniej polemiki chciałbym tu przedstawić uwagi napisane w 1963 r. Wydaje mi się, że dopiero poprzez postawienie problemu cech rozwoju współczesnej poezji da się lepiej spojrzeć na Białoszewskiego, zwłaszcza że pojmowany jest on więcej jako zjawisko niż jako indywidualność.

Białoszewski został wciągnięty uroczyście do ewidencji poetyckiej w roku 1956, kiedy ukazał się jego „debiutancki" tomik „Obroty rzeczy" (debiut, który był jednocześnie wyborem!). Krytyka od razu kreowała autora na przywódcę nowej poezji. Ponieważ równocześnie pojawił się w tym czasie drugi dojrzały debiut — „Struna światła" Herberta i inne, a także tomiki rzeczywiście młodych poetów, jak „Cuda" Harasymowicza, „Ballada rycerska" Grochowiaka, „Oczy śniegu" Piotrowskiego, nie bez powodu uznano rok 1956 za datę historyczną, za początek nowego etapu w poezji, tym bardziej, że również starsze pokolenie zaskoczyło nowym, czasem pełnym pasji, spojrzeniem (np. „Poemat dla dorosłych" Ważyka, „Gorący popiół" Jastruna.

Nareszcie nie sam Różewicz. Nawiasem mówiąc, w okresie posuchy też pojawiły się ciekawe debiuty, zwłaszcza Szymborska, jedna z nielicznych autentycznych poetek realizmu socjalistycznego. Oczywiście źródło tej jednoczesności tylu debiutów leży w październikowym podmuchu, nagły więc wybuch poezji był nieco sztuczny i krytyka rychło znalazła formuły określające to zjawisko, mówiąc o debiutach pozornych (Białoszewski, Herbert, potem Czachorowski, Twardowski), nie starała się jednak z wrodzonej wstydliwości i dyskrecji wyjaśniać przyczyn owego zjawiska.

Tymczasem jeśli nie odpowiemy sobie na pewne pytania, jakie się narzucają, np. o ile i dlaczego debiut pokolenia Białoszewskiego był opóźniony, i jeśli nie uwzględnimy okupacyjnego rozdziału poezji, to nie zdołamy uchwycić prawidłowo rozwoju poezji współczesnej, jej zakłóceń i komplikacji.

Od kiedy Białoszewski pisze? Kiedy wystąpił? W jakim kontekście powinien się znaleźć? Tych spraw krytyka nie poruszała. Zahaczył o nie dopiero Sandauer w toku swej egzegezy. Wiedzieliśmy tylko, że debiut był opóźniony. Zapadło milczące porozumienie tłumaczące owo zjawisko okresem błędów i wypaczeń.

Na szczęście są pewne ślady właściwego debiutu autora „Obrotów rzeczy" — powielane pisemko „Akademik" oraz niepozorne ale w dzisiejszym kontekście nabierające historyczno-bibliograficznego smaczku sprawozdanie M. A. Wasilewskiego o „pierwszym wieczorze poezji akademickiej w Warszawie". Autor pisze tu m. in., że najmocniejszym punktem programu był bezwzględnie kapitalny wiersz Mirona Białoszewskiego „Jerozolima"; sprawozdanie kończy się prowokacyjną dziś uwagą: „Jest doprawdy rzeczą bardzo dziwną, że Białoszewski jest dotąd tak mało znany i że ciągle jeszcze jest poetą do odkrycia". Mogło to być napisane w 1955 r., faktycznie zaś było w... 1946 r.; na odkrycie czekał poeta jeszcze całe dziesięciolecie. Prawda, że to niewiele z perspektyw historycznych, że są przykłady dłuższych oczekiwań, ale z drugiej strony faktem jest też, że np. w ciągu dziesięciu lat zdążył rozwinąć się i zgasnąć modernizm, że w dwudziestoleciu w takim okresie znalazło się miejsce dla Skamandra, futuryzmu, awangardy i pomniejszych izmów i że wówczas, kiedy Białoszewski czekał na odkrycie, aura wydawała się sprzyjająca. Przecież mimo wybuchu prozy (Żukrowski, Borowski, Brandys, Filipowicz...) wówczas właśnie nastąpił błysk wyobraźni Bieńkowskiego („Sprawa wyobraźni", 1945), zaczął publikować Różewicz, którego nazwisko od czasu debiutu („Niepokój", 1947) stało się wykładnikiem, reprezntatywnym pojęciem nowej awangardy, współczesnej poezji.

Białoszewski wystartował więc niemal razem z Różewiczem (nie licząc przedwojennych uczniowskich wierszy autora „Czerwonej rękawiczki"). Dlaczego jednak znalazło się miejsce dla Różewicza a nie było go dla autora „Rachunku zachciankowego"? Problem jest obszerny i dyskusyjny, niemniej jednak warto go raz wreszcie przynajmniej postawić.

Trzeba by zdać sobie przede wszystkim sprawę z tego, jakie były wówczas okoliczności. Otóż był to czas oddechu po pięcioletnim koszmarze okupacyjnym. Literatura rozwijała się żywo, tylko że jej rozwój był trochę pozorny, gdy w gruncie rzeczy większość ukazują-

(Ciąg dalszy na str. 6)

Spotkają się w Chełmie...

W DNIACH 10—11 września br. odbędzie się w Chełmie Lubelskim II Zjazd Twórców Ziemi Chełmskiej, zorganizowany przez Zarząd Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Chełmskiej i Wydział Kultury Prezydium PRN w Chełmie. Do udziału w Zjeździe zaproszono kilkudziesięciu literatów, nauczycieli, plastyków, działaczy społecznych z wielu miast Polski; wszyscy oni byli lub są związani życiem i twórczością z Ziemią Chełmską.

Program Zjazdu przewiduje przegląd dorobku regionu, „Turniej Jednego Wiersza" oraz seminarium naukowe z referatami: „Integracyjny charakter twórczości chełmskiej", „Geneza i miejsce twórczości chełmskiej we współczesnej literaturze Lubelszczyzny", „Piękno Ziemi Chełmskiej w twórczości", „Naukowe piśmiennictwo chełmskie", „Sytuacja gospodarcza i perspektywy rozwoju Chełma".

Końcowym akcentem spotkania będzie występ Teatru Ziemi Chełmskiej, który pokaże „Kowala, pieniądzę i gwiazdy" J. Szaniawskiego.

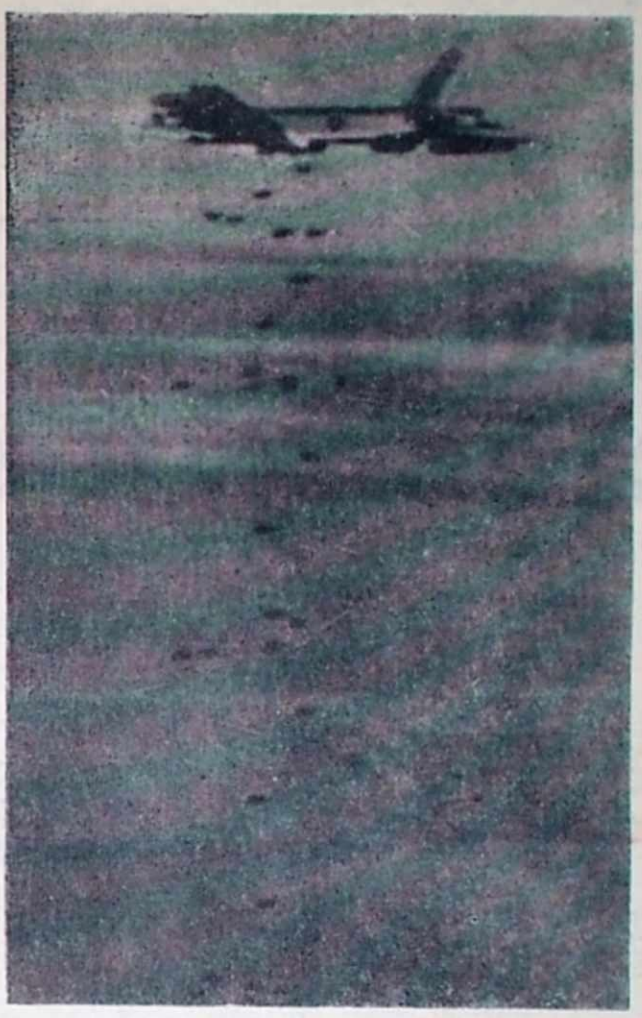

MAREK ADAM JAWORSKI

Amerykański lotnik

Jestem jak ślepiec
zanurzony w nocy,
morderca na rozkaz
chroniony przez mundur.

Uwięziony między wiekami,
zawieszony między gwiazdą a ziemią,
niewolnik atomu i napalmu
z sercem cięższym niż mosiądz.

Automat rąk naciśnie dźwignię,
wymknie się śmierć w pigułkach
made in USA.

Domy skulą się nagle,
ludzi przygarnie ziemia.
Rzeki wysuszy ogień,
ulicami popłynie napalm.

„Dziadku — spytają wnuki
patrząc na pierś z orderami —
pędziłeś w przestworzach na linie,
zgłębiałeś kratery Księżyca?"

Odpowiem:
W kratery zamieniałem miasta,
ryż nasycałem trucizną,
dzieci wydzierałem światłu,
kołyski wkładałem do trumny.

Odpowiem,
jeśli błysk nie oślepi,
aluminiowy ptak nie pęknie,
ciemność nie ogłuszy,
obcy cmentarz ciała nie wchłonie.

Odpowiem,
jeśli jeszcze ktoś pytać będzie,
jeśli Ziemia
nie stanie się martwym ogromem.

TO STOSUNKOWO mało znane zdjęcie przypominamy dziś w przededniu 27 rocznicy napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę.

„Zniszczenie Polski jest naszym pierwszym zadaniem — mówił Adolf Hitler na odprawie z wyższymi dowódcami armii w dniu 22 sierpnia 1939 r. — Celem musi być nie dotarcie do jakiejś oznaczonej linii, lecz zniszczenie żywej siły. Nawet gdyby wojna miała wybuchnąć na Zachodzie, zniszczenie Polski musi być pierwszym naszym zadaniem. Decyzja musi być natychmiastowa ze względu na porę roku. Podam dla celów propagandy jakąś przyczynę wybuchu wojny, mniejsza z tym, czy będzie ona wiarygodna, czy nie. Zwycięscy nikt nie pyta, czy powiedział prawdę, czy też nie. W sprawach związanych z rozpoczęciem i prowadzeniem wojny nie decyduje prawo, lecz zwycięstwo.

Bądźcie bez litości. Bądźcie brutalni. Osiemdziesiąt milionów ludzi musi otrzymać to, co im się należy, należy im się zapewnienie egzystencji. Prawo jest po stronie najsilniejszego. Trzeba postępować z maksymalną surowością... Wojna ma być wojną wyniszczenia".

I była wojną wyniszczenia. Na Polskę spadła lawina stali i żelaza. Hitlerowskie lotnictwo bombardowało miasta i wsie, samoloty ostrzeliwały z karabinów maszynowych tłumy uciekinierów. Ginęły kobiety i mężczyźni, starcy i dzieci. Na zajętych przez wroga obszarach stanęły pierwsze szubienice, rozbrzmiewały pierwsze salwy plutonów egzekucyjnych. Upiorne preludium nocy okupacyjnej.

Sprawozdanie z konferencji Hitlera z Keitlem w sprawie polityki niemieckiej w okupowanej Polsce (20 października 1939 roku) głosiło m. in.:

„...Musi się przeszkodzić, ażeby inteligencja polska wybiła się na warstwę kierowniczą. W kraju winna pozostać niska stopa życiowa; stamtąd chcemy czerpać tylko siły robocze. W administracji kraju winni brać udział również Polacy. Nie można jednak dopuścić do wytworzenia komórek narodowych... Cel: równowaga i surowość w tej walce narodowościowej muszą nam oszczędzić konieczności wyruszenia raz jeszcze na pole bitwy z powodu tego kraju".

Z całą konsekwencją realizowano te wytyczne. Obozy koncentracyjne, sądy doraźne, a właściwie parodie sądów, masowe rozstrzeliwania — to był środek do osiągnięcia założonego celu.

Rozporządzenie gen. gubernatora H. Franka, wydane 31 października 1939 r., mówiło wyraźnie:

§ 1. Kto popełnia akt gwałtu w stosunku do Rzeszy Niemieckiej lub w stosunku do niemieckiej władzy zwierzchniej sprawowanej w Generalnej Guberni — podlega karze śmierci.

§ 2. Kto rozmyślnie uszkadza urządzenia urzędów niemieckich, przedmioty, które służą do pracy władz niemieckich lub zakłady użyteczności publicznej — podlega karze śmierci.

§ 3. Kto wzywa lub podżega do nieposłuszeństwa w stosunku do rozporządzeń lub zarządzeń wydanych przez władze niemieckie — podlega karze śmierci.

§ 4. Kto popełnia akt gwałtu wobec Niemca z powodu jego przynależności do narodu niemieckiego — podlega karze śmierci.

§ 5. Kto rozmyślnie wznieca pożar i uszkadza w ten sposób majątek Niemca — podlega karze śmierci.

§ 6. Podżegacze i pomocnicy podlegają karze takiej, jak sprawca, usiłowanie jest karane tak, jak popełnienie czynu".

Dobra więc była każda interpretacja tego rozporządzenia. Praktycznie nie było Polaka, którego nie można by ukarać śmiercią. A tymczasem Hitler pisał 8 marca 1940 r. do Mussoliniego słowa, które w historii ludzkości mogą zająć pierwsze miejsce pod względem cynizmu:

„...Polacy mieli prawdziwe szczęście, że mieli do czynienia z dobrodusznym narodem niemieckim i co więcej, z bardziej niż powściągliwym niemieckim Wehrmachtem. Gdy w 1871 r. została rozbita Komuna w Paryżu, obliczono, że oddziały wersalskie uśmierciły od 30 do 50 tys. komunardów. A ludzie ci byli najniewinniejszymi jagniątkami w porównaniu z tamtymi zbrodniarzami polskimi, a czyny ich zwykłymi dziecinnymi wybrykami wobec zajść, które wydarzyły się w Polsce".

„Wobec zajść które wydarzyły się w Polsce"... Ilustracją tego, co w Polsce rzeczywiście miało się wydarzyć, może być protokół z posiedzenia władz okupacyjnych w sprawie tzw. akcji AB — planu eksterminacji wobec inteligencji polskiej. Referując ów plan H. Frank powiedział w dniu 30 maja 1940 r.:

„Führer powiedział mi: sprawa przeprowadzenia i zabezpieczenia polityki niemieckiej w Guberni Generalnej jest w zupełności rzeczą odpowiedzialnych ludzi w Generalnej Guberni. Wyraził się tak: warstwy, uznane przez nas obecnie za kierownicze w Polsce, należy zlikwidować, co znowu narośnie, należy wykryć i w odpowiednim czasie znów usunąć. Nie powinniśmy obarczać tym policji niemieckiej w Rzeszy. Nie potrzebujemy tych elementów wprzód więc do obozów koncentracyjnych w Rzeszy, ponieważ wówczas mielibyśmy tylko kłopoty i niepotrzebną korespondencję z rodzinami, lecz zlikwidujemy te sprawy w kraju... Każdy dowódca policji i SS, który ma ciężki obowiązek wykonania tych wyroków, musi być w 100 proc. przekonany, że działa jako wykonawca wyroku prawa narodu niemieckiego...".

Można cytować bez końca. Przypominać światu. Uczyć nasze młode pokolenie. Jest to potrzebne, bo pogrobowcy Hitlera uwili sobie ciepłe gniazdko w NRF i marzą o odwecie. Ale rok 1966 nie jest rokiem 1939. Inna jest Polska. Inny układ sił...

Ankieta czyli szczyt tupetu

TRZEBA przyznać, że w tej sprawie zachodnioniemieckim rewizjonistom nigdy nie zbywało na pomysłowości. Możnaby spisać całą litanię argumentów wymyślonych nad Renem tylko w tym celu, aby udowodnić wszem i wobec, że granica na Odrze i Nysie jest wynalazkiem wołającym o pomstę do nieba.

Czego myśmy w tej sprawie już nie słyszeli? Niemcy przywołali na pomoc wszystko, co mogłoby świadczyć przeciwko granicy, zmobilizowali wszystkich, którzy byli przydatni w tej ojczyźnianej robocie. Swoją drogą, przyszło im to bez trudu zważywszy, że większość specjalistów z tego zakresu miała za sobą bogatą praktykę z dobrych, hitlerowskich czasów.

Dowiedzieliśmy się więc, że my, Polacy, sfałszowaliśmy historię. Nie było podobno żadnego niemieckiego „Drang nach Osten", nie było naszego oporu pod Cedynią, Psim Polem, Grunwaldem i Kutnem, nie było Hakaty i Zamojszczyzny, nikt nigdy nie słyszał, żeby jacyś Polacy żyli między Wisłą i Odrą. Wynikło z tego niezbicie, iż Polacy zagarnęli obce ziemie, stali się oni, a nie Niemcy, prawdziwymi najeźdźcami. Czy w tej sytuacji można się dziwić, że rząd zachodnioniemiecki wystąpił z tzw. „prawem do stron ojczystych"? Wprawdzie nie było w historii wypadku, aby Niemcy respektowały to prawo, ale to było zupełnie coś innego: wtedy nie chodziło o Niemców.

„Prawo do stron ojczystych" nie zrobiło kariery, na świecie nie znalazło się zbyt wielu chętnych do obrony biednych, pokrzywdzonych ziomków zachodnioniemieckich.

Poczucie sprawiedliwości należy do cech najbardziej obecnie cenionych w Niemieckiej Republice Federalnej. Tym sobie można wytłumaczyć troskliwość, z jaką eksperci od polskich Ziem Zachodnich poczęli przekładać na język niemiecki postanowienia Układu Poczdamskiego. I nagle okazało się, że to, co w rosyjskim i angielskim nie ulegało żadnej wątpliwości, przybrało w języku niemieckim zupełnie inną postać. Dowiedzieliśmy się nowej rewelacji. Układ Poczdamski nie tylko nie ustalił polskiej granicy na Odrze i Nysie, ale wyraźnie stwierdził, że Niemcy istnieją w granicach z 1937 roku. Nie wiele brakowało, a dowiedziono by nam, że Wielka Trójka zbierała się tylko po to, aby włos z głowy nie spadł biednym Niemcom.

I ten argument nie trafił nikomu do przekonania, na świecie bardziej wierzono oryginałowi Układu Poczdamskiego. Prostoduszność zachodnioniemieckich ministrów nie zna jednak granic. Granic rozsądku. Niedawno obie izby parlamentarne NRF, Bundesrat i Bundestag, podjęły uchwałę, która wychodząc z założenia, że Niemcy istnieją w granicach z 1938 roku rozciągnęła jurysdykcję sądów bońskich na obszar NRD, Polski i Związku Radzieckiego. To bezsilne pisanie palcem po mapie praktykują już od dawna inne urzędy NRF: poczta, kolej, szkoła. Propaganda zachodnioniemiecka karmi codziennie ludzi bajkami, wprowadzając ich w nieistniejącą krainę.

Notes niemiecki

Bajki stały się wogóle główną specjalnością zachodnioniemieckiej propagandy. Jeszcze do dziś w repertuarze fachowców od antypolskiej roboty znajduje się mrożąca krew w żyłach bajka o życiu na Ziemiach Zachodnich: pustka, ruiny porośnięte trawą, nieuprawiane pola, wymarłe miasta. Kiedyś opowiadano sobie to wszystko ze śmiertelną powagą, robiono na ten temat dysertacje naukowe, powielano w milionach luksusowych broszur i słano w świat. Dziś straszy się nią jeszcze dzieci, ale od czasu do czasu któryś z przywódców przesiedleńczego związku podeprze się nią w krasomówczym zapale i wznieci święte oburzenie zebranych na wiecu „wypędzonych".

Godna podziwu jest gorliwość, z jaką usiłuje się w Niemczech zachodnich przekonać świat, że to, co zaszło w 1945 roku, jest niesprawiedliwe. Używa się w tym celu najbardziej karkołomnych argumentów, każda metoda jest dobra, każdy chwyt dozwolony. Fałsz, kłamstwo i przeinaczenie wprzągnięte zostały w służbę rewizjonizmu według starych wypróbowanych metod hitlerowskich. Wydawało się, że nic już nie można wymyślić nowego w tej działalności. I kłamstwo ma swoje granice, które trudno przekroczyć. Niemożliwe stało się jednak faktem.

W ostatnich dniach ukazała się w Niemczech zachodnich wiadomość, przed której przeczytaniem każdy polski czytelnik musi się mocno chwycić za krzesło, żeby z wrażenia nie spaść i nie zrobić sobie jakiejś krzywdy. Znany biuletyn organizacji przesiedleńczych „Pressedienst der Heimatvertriebenen" (nr 28 z 13.VII.) powołując się na wychodzący w Saarbruecken „Głos wolności" („Stimme der Freiheit") napisał, że wiosną br. rozdzielono na terenie Polski 3600 kwestionariuszy ankietowych, z których powróciło 3285, zaś 3273 uznano za „prawidłowo wypełnione". Poza pytaniami dotyczącymi spraw gospodarczych i wewnątrzpolitycznych, ankieta miała zawierać pytania odnośnie stosunków polsko-niemieckich, ze szczególnym uwzględnieniem granicy na Odrze i Nysie. Wyniki były najzupełniej zgodne z zachodnioniemieckimi oczekiwaniami:

63 proc. ankietowanych wypowiedziało się przeciw trwałemu podziałowi Niemiec, 9 proc. było za, 28 proc. — niezdecydowanych.

W sprawie granicy na Odrze i Nysie 72 proc. oświadczyło, że wątpi w jej „długotrwałość", 9 proc. wyraziło pogląd, „że nigdy nie może być ona poddana rewizji", 19 proc. nie miało żadnego poglądu.

Przepisałem dosłownie te fantastyczne dane. Stał się cud, o jakim nie śniło się najbardziej biegłym cudotwórcom. Polacy odpowiedzieli na pytania w sposób nieporównanie korzystniejszy dla interesów zachodnioniemieckich rewizjonistów, aniżeli uczyniliby to sami obywatele NRF, ba, sami przesiedleńcy!

Teraz wszystko jest już jasne. Po co angażować sztaby naukowców w udowadnianie, że Polacy nie mają żadnych praw do ziem nad Odrą i Nysą, kiedy sami Polacy ich nie chcą i nie wierzą, że będą do nich należeć.

Genialny pomysł. Jedna ankieta załatwiła wszystko. I jak teraz wyglądają te polskie bajki o przywiązaniu społeczeństwa polskiego do Ziem Zachodnich, o ich ofiarnej pracy nad odbudową miast, eksplozji demograficznej nad Odrą i Bałtykiem, o rozwoju kultury i oświaty na tych terenach? Jak wyglądają ci wszyscy na Wschodzie i na Zachodzie, którzy bez przerwy mówią o potrzebie rezygnacji Niemiec zachodnich z pretensji do granicy na Odrze i Nysie? Jak wyglądają wreszcie ci domorośli, zachodnioniemieccy mądrale, którzy dali się wziąć na lep komunistycznej propagandy i już dawno odstąpili Polsce ukochane, wschodnie strony ojczyste?

Nie ulega wątpliwości, że trzeba było wyjątkowego tupetu i wyjątkowego braku poczucia rzeczywistości, żeby wymyślić taką „ankietę".

(jb)

Przegląd PRASY

USCHYŁKU sezonu turystycznego nie od rzeczy będzie powrócić jeszcze raz do kwestii naszych wakacji, wypoczynku i krajoznawczych podróży. Jest sprawą oczywistą, że obecnie jesteśmy coraz ruchliwsi, podróżujemy więcej i... dalej. Jest też pewne, że powinniśmy się ruszać po świecie więcej i chcielibyśmy robić to w sposób jak najmniej męczący i najbardziej pożyteczny. A do tego mamy jeszcze dosyć daleko.

W rzeszowskich **„WIDNOKRĘGACH" Zdzisław Kozioł** publikuje **„Refleksje z podróży w nieznane".** Ułatwienia w wyjeździe za granicę spowodowały gwałtowny wzrost turystyki zagranicznej, zwłaszcza że, jak niektórzy twierdzą, urlop spędzony nad Balatonem czy nad Morzem Czarnym jest tańszy od wczasów w Krynicy czy Sopocie. Instytucje organizujące turystykę zagraniczną nie uwzględniły jednak tej nowej sytuacji. Doświadczył tego autor jadąc do Bułgarii — jeszcze przed szczytem wakacyjnym:

„Indywidualny turysta jedzie w nieznane, nie wie nawet, czy zdobędzie miejsce siedzące (podróż do Warny trwa ponad 30 godzin). Indywidualny turysta nie może wykupić miejscówki, a bilety sypialne sprzedaje ponoć tylko Warszawa". Wagony sypialne są bowiem zarezerwowane tylko dla wyjazdów zbiorowych. Nie lepiej przedstawia się też strona poznawcza indywidualnej turystyki zagranicznej. Pod tym względem jest to także podróż w nieznane, gdyż brakuje odpowiednich materiałów informacyjnych: *„Co zwiedzać. Jakie są ceny hoteli i posiłków w restauracjach? Które miejscowości, z uwagi na ceny, są dostępne dla turystów z Polski? Pytań, na które turysta chce otrzymać odpowiedź, jest więcej".* Dodajmy, że nie są to pytania o luksus, ale o sprawy najbardziej elementarne.

Z innymi myślami przyjechał z zagranicy **Lesław Gnot.** W artykule **„Wielka szansa" („KURIER LUBELSKI")** zastanawia się nad naszą lubelską turystyką. Jesteśmy zapóźnieni w stosunku do innych krajów — to oczywiste. Jesteśmy daleko w tyle za innymi województwami. A przecież mamy i my perły, nie umiemy ich tylko oprawić. Rzecz idzie tylko o przygotowanie terenów dla turystów. Chodzi tu zarówno o zwykły rachunek ekonomiczny (inwestycje szybko się zwrócą), jak też o ochronę i właściwe eksponowanie naszych skarbów turystycznych.

Pisze się o tym tak dużo (również na tych łamach), że w końcu należałoby i coś zacząć robić. Żeby za rok nie było „w koło Wojtek".

Drugi temat aktualny to rozpoczęcie nowego roku szkolnego, rok pierwszy ośmioletniej szkoły podstawowej. Jak donoszą reporterzy — nie wszystkie placówki są do tego należycie przygotowane. Skończyły się natomiast emocje związane z przyjęciami na wyższe uczelnie. Zaczęły natomiast kłopoty z tymi, którzy po maturze na studia się nie dostali. Na przykładzie Kielecczyzny rozpatruje te sprawy w **„SŁOWIE LUDU" Teresa Łęcka** w artykule **„Brak ochoty czy brak możliwości".** Chodzi o to, że Kielecczyzna znajdowała się w tym roku prawie na samym końcu w skali krajowej, jeśli chodzi o procent absolwentów szkół średnich, kandydujących na wyższe uczelnie.

Dlaczego tak się dzieje? Czy oznacza to brak ambicji i ochoty do nauki, czy też wchodzą w grę inne względy? Autorka artykułu stawia sprawę w ten sposób:

„Nasza młodzież wyraźnie cofa się przed trudnościami konkurencji, jakie ją czekają przy zdobywaniu miejsc na obcych sobie wyższych uczelniach. Jak wiemy, decyduje tam nie tylko ściśle poziom wiedzy. Nie wszystkie braki nadrabiają przywileje w punktach. Wielu odstrasza zbyt duża odległość od ośrodków kształcenia". Tu Łęcka powraca do sprawy, z którą wiąże się w Kielcach wiele nadziei, ale — jak na razie — na nadziejach się kończy:

„Perspektywy powszechniejszego zdobywania wiedzy wyższej rozwiąże nam najpełniej tylko własna uczelnia dzienna. Właśnie dzienna — a nie tylko wieczorowe, dla pracujących". Postulat własnej wyższej uczelni nie stanowi w tym wypadku owocu snobizmu, ale jest wyrazem rzeczywistych potrzeb. Tylko na tej drodze Ziemia Kielecka może wyrównać szybciej niedobór inteligencji z wyższym wykształceniem, stworzyć oparcie dla środowiska naukowego, podnieść rangę całego województwa.

Katowickie **„POGLĄDY"** w ostatnim numerze dają kilka kolumn poświęconych sprawom narodu łużyckiego. Pretekstem stał się niedawny festiwal kultury łużyckiej, w którym uczestniczyli także zaproszeni śląscy pisarze. „Poglądy" zamieszczają artykuły **W. Szewczyka, A. Siekierskiego, A. Baumgardtena, J. Baranowicza, W. Nawrockiego i B. Lubosza.** Ze wszystkich wypowiedzi bije głęboki podziw i serdeczne uznanie dla kulturalnych osiągnięć tego narodu, który przez tysiąc lat bezpośredniego naporu niemieckiego potrafił ocalić swoją odrębność narodową. Dopiero Niemiecka Republika Demokratyczna zapewniła Łużyczanom równouprawnienie i możliwość normalnego rozwoju. Mało wiemy o Łużycach, dopiero zaczyna się okres wzajemnego poznania. A przecież powinno być inaczej.

T. K.

NAJLEPSZĄ FORMĄ TERMINOWEGO OTRZYMYWANIA „KAMENY" JEST PRENUMERATA

CZECHOWICZ: wstęp do autobiografii

(Dokończenie ze str. 1)

Materiał to bardzo niejednolity. Strony 1—6 zostały każda z osobna opatrzona tytułem „Fakty" i zawierają one wiadomości o rodzinie ze strony matki, począwszy od pradziadka poety, a także okruchy wspomnień z dzieciństwa, są tu interesujące wzmianki o ojcu oraz wiadomości o rodzeństwie autora. Po tej części następuje niewielki fragment kopii maszynopisowej, której Czechowicz nadał tytuł „Notatki pamiętnikowe 1920 roku". Ostania część teksu obejmuje fragmenty dziennika, pisanego w Słobódce na Wileńszczyźnie w maju 1922 roku.

Trudno w tej chwili powiedzieć, czy teksty te są kompletne. A nawet wygląda na to, że nie obejmują one wszystkiego materiału o podobnym charakterze, który wyszedł spod pióra Czechowicza. Nie można też mieć pewności, że układ i połączenie rzeczy różnych gatunkowo (dziennik i pamiętnik) w jedną całość pochodzi od autora. Powstawały one przy tym w odległych od siebie okresach czasu. Dziennik ma lokalizację bardzo szczegółową i dokładną, zapiski te prowadzone były na bieżąco w latach 1920 i 1922. Natomiast fragmenty wspomnień i pamiętnika powstały, a przynajmniej zostały ostatecznie zredagowane, jak świadczą wzmianki w tekście, w 1936 r., a więc po śmierci matki.

W listach pisanych do S. Piętaka i S. Czernika po tym fakcie skarży się Czechowicz, że pozostał ostatni i bezpotomny ze swego rodu. Poeta odczuwał głębokie osamotnienie, tym bardziej że zbiegło się to z intrygami wokół osoby Czechowicza, który w ich wyniku stracił posadę i mieszkanie w ZNP w Warszawie. Czechowicz spędzał w tym czasie dłuższy urlop w Lublinie i stąd być może zjawiła się potrzeba zapisania wszystkiego, co dotyczyło jego rodziny.

Jedna rzecz jest uderzająca we wspomnieniach Czechowicza: wyłączne skupienie uwagi na dziejach rodziny z linii matki. Czechowicz przeszukał, posprawdzał oraz wynotował z metryk lubelskich, końskowolskich i garbowskich wszystkie fakty i nazwiska, wzbogacił je wspomnieniami rodzinnymi. Dlaczego pominął poeta dokumenty krzczonowskie, dotyczące ojca? Miał przecież wdzięczny teren do poszukiwań genealogicznych. Można przypuszczać, że Czechowicz zaglądał do parafialnych archiwów krzczonowskich. Musiał jednak znaleźć tam coś, co nie nadawało się do ujawniania, co rzucało cień na piękną legendę o pokrewieństwie z wielkim arianinem.

Z metryki ślubu rodziców Czechowicza wynika, że ojciec poety był młodszy o 10 lat od jego matki, która urodziła się w Młynkach koło Końskowoli w 1864 r. Urodził się więc on w 1874 r. Istotnie, w krzczonowskich księgach urodzin z r. 1874 ojciec poety, Paweł Czechowicz ,jest zapisany pod numerem 131. Urodził się on 28 czerwca we wsi Żuków, wsi leżącej o około 8 km od Krzczonowa, z matki Katarzyny z Czechowiczów Snioskowej (w rosyjskim oryginale jest: Snioskowoj), służącej z Żukowa, liczącej lat 35. Paweł Czechowicz zapisany został tam jako dziecko niewiadomego ojca. Wygląda więc na to, że Katarzyna z Czechowiczów Snioskowa była już wtedy wdową i dała dziecku nazwisko panieńskie, gdyż w przeciwnym wypadku nosiłoby ono nazwisko mężowskie.

Mimo poszukiwań nie udało się w księgach metrykalnych (urodzin i ślubów) znaleźć innych danych o rodzinie Czechowiczów. Przeczy to rozpowszechnianym opiniom, jakoby do dziś w okolicach Krzczonowa było kilka rodzin tego nazwiska. Od Józefa Smarzyńskiego, nauczyciela w Krzczonowie (który znał zresztą Czechowicza, zetknął się z nim na terenie Seminarium Nauczycielskiego w Lublinie) dowiedziałem się, że nazwisko Czechowicza poza ojcem poety nie było tam spotykane. Na zdaniu tym można polegać, bowiem Smarzyńscy należą do starego krzczonowskiego rodu. Wynikałoby z tego, że rodzina Czechowicza przyszła w okolice Krzczonowa z innych stron. Również nazwiska Śniosek nie spotkałem w dokumentach więcej razy.

Jakie powody sprawiły, że babka Czechowicza opuściła wraz z synem Pawłem Żuków i krzczonowskie strony? Józef Smarzyński, który rozmawiał z nieżyjącymi już ludźmi, znającymi Pawła Czechowicza twierdzi, że ojciec poety miał jakieś powiązania z konspiracyjnym ruchem niepodległościowym i gdy podpadł władzom carskim, został zmuszony do zmiany miejsca zamieszkania. Kiedy to było, trudno powiedzieć. Faktem jest, że po pewnym czasie Paweł Czechowicz znalazł się wraz z matką w Garbowie, gdzie zapewne oboje pracowali we dworze. Ślub Pawła Czechowicza z Małgorzatą z Sułków odbył się także w Garbowie. W metryce ślubu napisano, że Małgorzata mieszkała w Garbowie przy rodzicach, którzy też chyba byli robotnikami we dworze. Wskazywałby na to skład gości weselnych, wyliczanych dokładnie przez Czechowicza.

Dalej ślad urywa się znowu. Wiadomo, że zaczynają przychodzić na świat dzieci Czechowiczów. We wspomnianym szkicu W. Gralewski pisze, że najstarsze dziecko — Katarzyna (Kazimiera) urodziła się w Lublinie, gdy jej ojciec miał lat 20. Musiało to być w roku ślubu, a więc w 1894. W 1899 r. w Młynkach, rodzinnej wsi matki poety, przychodzi na świat Stanisław Czechowicz. Z metryki chrztu, sporządzonej w Końskowoli wynika, że Paweł Czechowicz nie był przy chrzcie obecny, ponieważ odbywał służbę wojskową. Szybko jednak wraca z wojska, bowiem w 1901 r. znajduje zatrudnienie w Banku Warszawskim, gdzie pracuje najpierw jako woźny, a potem jako inkasent aż do swojej śmierci w 1912 roku. Matka Czechowicza była również etatową pracownicą Banku Warszawskiego w latach 1901—1926, potem zaś, w związku ze zmianą lokalu, gdy Małgorzata Czechowiczowa nie otrzymała służbowego mieszkania w nowej siedzibie Banku, została pracownicą nieetatową. Fakty te zawarte są w piśmie, które w 1933 r. wysłał do Zarządu Banku Handlowego w sprawie matki Czechowicza adwokat i przyjaciel poety, Kazimierz Miernowski.

W obrębie tych wyjaśnień, naświetlających pewne sprawy, nie ma miejsca na interpretację drukowanych tu tekstów Czechowicza. Zapiski ze Słobódki są jakby prologiem do „Opowieści o papierowej koronie", drukowanej w „Reflektorze" w 1923 r., szkicują tło wydarzeń, które doprowadziły do samobójstwa młodziutkiego nauczyciela i poety. Natomiast notatki z 1920 r. są interesujące z wielu powodów, choćby dlatego, że przeżycia i doświadczenia wojenne stanowiły nieraz tworzywo poetyckich i prozatorskich utworów poety, służyły do konstruowania katastroficznych wizji. W kopii maszynopisowej dziennika z 1920 r. jest luka w zapiskach — między 22 września a 8 października. Udało się jednak brakujący fragment odnaleźć. Wydrukował go Czechowicz pod pseudonimem Henryka Zasławskiego w „Państwie Pracy" (1933 nr 37, kolumna literacka „Kohorta") pod tytułem „Przypomnienie tamtych dni (z notatnika studenta — ochotnika)". Porównanie fragmentu drukowanego z pozostałymi wykazuje, że autor, przygotowując rzecz do druku, poddawał ją pewnej obróbce. Surowy i lakoniczny zapis dziennika uległ poważnym przekształceniom, została niemal zniesiona całkowicie geograficzna lokalizacja wydarzeń i sytuacji. Przy okazji autor z ucznia Seminarium Nauczycielskiego stał się studentem uniwersytetu, którym nigdy Czechowicz nie był.

Wspomnienia i dzienniki Czechowicza, publikowane tutaj, mają dużą wagę dla biografii Czechowicza. Zamiast domysłów znajdujemy tu dosyć twardy grunt faktów, dzięki którym nasza wiedza o losach poety staje się pełniejsza. Następuje też przesunięcie środka ciężkości z tradycji rodzinnej ojca na tradycję rodzinną matki. Widać to było już z tego, co pisał Czechowicz. Interesował się młynkowskim folklorem, pisał wiersze gwarą młynkowską, drukował dawne pieśni i przyśpiewki młynkowskie. Utrzymywał z okolicami rodzinnymi matki związek bardzo ścisły.

W swoich wspomnieniach odsłania też poeta widok na własne dzieciństwo, o którym wspomina w wierszu „Jedyna":

dzieciństwo złe szczenię szczekało
w dni wodospadach
głodnego na tapczanie gorączka
mnie żarzyła i jadła
połatane ubranko szeptem opowiada
ręce chropawe od pracy dla mnie
kradły

Wnuk służącej, syn robotników dworskich, a potem fizycznych pracowników Banku, miał ciężką drogę. Czechowicz skazany na taką biografię buntował się przeciw niej. Zamiast genealogii rzeczywistej stwarzał rodowód fikcyjny, zastępczy, ale odpowiadający pragnieniom poety. A te były związane wyłącznie z poezją. To było jedyne królestwo, którego marzyła mu się upragniona korona.

Tadeusz Kłak

Z DZIENNIKÓW I WSPOMNIEŃ

JÓZEFA CZECHOWICZA*)

PRADZIADEK ze strony matki, Kazimierz Sułek, zmarły około roku 1869, był uczestnikiem walk powstańczych w grupie puławskiej). W partii zaprzyjaźnił się z dwoma jakimiś panami, naówczas studentami Instytutu.

Gdy Kazimierz Sułek był ciężko chory, na kilka dni przed jego śmiercią przybyli konno w nocy dwaj panowie. Całą noc rozmawiali z nim na osobności, pisali coś. Odjechali ze świtem. Prawdopodobnie byli to ci sami przyjaciele z partii. Kazimierz Sułek był dość zamożny, umiał czytać (do trumny włożono mu książeczkę do nabożeństwa). Podpasywał się wełnianym czerwonym pasem. Na podszewce świtki **kówny lub Sułczychy, jego wnuczki.** miał haftowany monogram, przedmiot ciekawości małej Małgosi Sułkiedy umarł, nie zdawała sobie z tego sprawy i twierdziła, że dziadek śpi. Trumna była w jej pojęciu jakimś oryginalnym łóżkiem. Żona Kazimierza Sułka przeżyła go o wiele lat. Zmarła dopiero około 1897 roku, niemal stuletnia.

Pewnego dnia na ogrodach w Młynkach spotkała Małgorzatę z Sułków Czechowiczową z córeczką (Katarzyną — Kazimierą). Była siwiuteńka i miała bardzo łagodny, pogodny głos.

— Kto to idzie — zapytała — bo niedowidzę...

— Wasza wnuczka, babciu, Sułczycha Małgosia

— A czy to dziecko, twoje?

— A moje, moje...

— Tom się już prawnuczków doczekała...

— — — — — — — — — — — — —

Dziadek ze strony matki, Józef Sułek, ożenił się jako młodzik. Był to wesoły utracjusz i hulaka. Na tym tle często dochodziło do scysji między nim a ojcem jego, wyżej wspomnianym Kazimierzem. Ten bowiem był poważny, stateczny, nie pił, często chodził nad rzekę, rozmyślając w samotności.

Józef Sułek, ur. w r. 1844, pojął za żonę Katarzynę Kuciankę (z Kutów), o rok tylko młodszą od siebie. Katarzyna była wielkiej urody. Jasnowłosa, smukła i zgrabna. Oczy miała ciemnoniebieskie. Pobrali się z miłości wbrew woli rodziców. Po ślubie jednakże Kazimierz Sułek nie sprzeciwiał się ich wyborowi, pogodził się z losem.

— — — — — — — — — — — — —

Małgorzata Sułkówna urodziła się 8 kwietnia 1864 roku o godzinie osiemnastej. Nazajutrz ochrzcił dziecko o godzinie jedenastej rano ks. Aleksander Kiernicki, wikariusz końskowolski, w kościele farnym w Końskowoli

Rodzicami chrzestnymi byli: Małgorzata Furtakowa, sąsiadka Sułków i Szymon Kuta, brat matki dziecka, Katarzyny z Kutów Sułkowej. Słynął on w okolicy jako wielki siłacz. Miał wówczas lat 23 lub 24.

Jako druga para chrzestnych wystąpili Marianna z Sułków Kozakowa, siostra Józefa, ojca Małgorzaty i Jan Murat, trzydziestoletni, który wkrótce potem zginął tragicznie. Zabił go rządca z Bronic.

— — — — — — — — — — — — —

Paweł Czechowicz i Małgorzata z Sułków wzięli ślub w Garbowie. W chwili ślubu on miał lat dwadzieścia ona — trzydzieści. Ta różnica wieku i to w takim właśnie stosunku (20 i 30 lat) była potem podłożem rozłamu w pożyciu małżeńskim.

W roku 1894 wyszły w starym kościele garbowskim zapowiedzi trzykrotne w dniach 25 września, 14 października i 21 października. Tegoż dnia o godzinie 14 pobłogosławiony został związek małżeński między Pawłem i Małgorzatą. Ślubu udzielił im nie proboszcz, którym był naówczas ks. Władysław Biernacki, lecz wikary, ks. Tomasz Słonecki, młody, żarliwy ksiądz.

Tak więc ślub odbył się w niedzielę po sumie.

Oficjalnymi świadkami byli: Michał Węgrzyn (lat 50), dobry znajomy Katarzyny Czechowicz (matki pana młodego), który zresztą żył później z Pawłem i jego żoną w wielkiej przyjaźni, odwiedzał ich w Lublinie wielokrotnie, a w ciężkich

15. III. 1903 — 9. IX. 1939

czasach wielkiej wojny pomagał wdowie Małgorzacie, przywożąc jej ziemniaki, kapustę, masło.

Drugi świadek oficjalny, 30-letni Franciszek Podleszewski, podobnie jak Węgrzyn, był rolnikiem zamieszkałym w Garbowie.

Poza tym byli na ślubie Aleksander Węgrzyn, syn wyżej wspomnianego Michała, Józefa Nakonieczna i Józef Nakonieczny, (później poseł do Dumy), niejaki Wolski, człowiek trzydziestokilkuletni, mało znany rodzinie Czechowiczów, oraz Dobrzyńscy, którzy wówczas przebywali w Garbowie, nie zaś w Miesiącach. Wśród Dobrzyńskich był Ignacy, później głośny artysta ludowy, zaprzyjaźniony z Konstantym Kietlicz-Rayskim i Wiktorem Ziółkowskim (Julianem Kotem). W owym czasie Dobrzyński był dwunasto czy też trzynastoletnim.

Wesele było huczne. Odbywało się u Węgrzynów w dwóch chatach, nowej i starej. W jednej tylko tańczono, w drugiej był poczęstunek. Rodziny i gości proszonych było około 40 osób. Poza tym wielu nieproszonych wstępowało na taniec albo na kieliszek. Z pieniędzy osiągniętych za mąkę w Lublinie kupowano „u Morela" (w Garbowie) piwo i wódkę.

„Starzy Węgrzynka gotowali..."

Wśród druhen były Julka Górska, serdeczna przyjaciółka Małgorzaty (panny młodej), dwórka z pałacu garbowskiego oraz Jagusia Wójcikówna. Wśród drużbów — wspomniany już Wolski.

Rolę starszej druhny odgrywała również wspominana Józia Nakonieczna, zaś starszym drużbą był Ignaś, brat Jagusi.

„Dzieciństwo złe szczenię"

1911 — Lublin. Lato (w domu)

Ojciec w szpitalu — chory — gorzej mu. W domu zaczyna się bieda. Matka przyjmuje sublokatorkę, Katarzynę Gruszecką (ponura, zacięta i pyskata stara panna).

Mieszkamy znowu w suterenie, tej wielkiej, w której w r. 1936 jest skład hurtowni aptekarskiej.

Babka, Katarzyna Czechowiczowa, także chora, w szpitalu.

Brat, Stanisław, spędza lato w Suchodołach na Wołyniu, gdzie Gutowscy są dla niego bardzo serdeczni. Na wyjezdnym obdarowują go dwoma skrzyniami ubrań, książek, bielizny i drobiazgów.

St. Cz. darowuje bratu, Józefowi, komplet farb i pędzelek, aby miał czym malować żołnierzy. Podarunek z listu, nie zaś z zapasów przywiezionych z Suchodołów.

W niedzielę Matka z K. Cz. i J. Cz. odwiedza ojca w szpitalu. Ojciec jest przerażający: mówi od rzeczy, bawi się guzikami, chodzi w szpitalnych chałacie, a posługacze patrzą na niego wilkiem. Ogród szpitalny pachnie spokojem i kwiatami.

Przyjaciółka domu, p. Kozakiewicz, często dokarmia głodnego J. Cz., a jej piękna córka, dorastająca, pokazuje mu książki, gra z nim w gry i loteryjki.

K. Cz., aby ulżyć rodzinie, wyjechała do Kielczewskich, jako „panienka do dzieci". Uczy się tam mówić po ukraińsku, uczy się też wołyńskich piosenek. W listach z Chołoniowa skarży się na dzieci. Dokuczają jej.

Jest projekt, aby rodzina opuściła Bank Warszawski.

Stanisław Czechowicz, syn Pawła i Małgorzaty z Sułków, urodz. we wsi Młynki pow. puławskiego 18 kwietnia 1899 roku, ochrzczony w kościele parafialnym w Końskowoli.

Jesienią 1908 roku przyjęty został do klasy wstępnej gimnazjum polskiego w Lublinie pod nazwą „8-klasowa filologiczna Szkoła Lubelska", na zasadzie egzaminu wstępnego (już w piątym roku życia St. Cz. czytał płynnie i ze zrozumieniem, za co sąsiedzi darowywali mu książki, zaczątek przyszłej biblioteki. Niejaki Ostrowski, właść. sklepu mydlarskiego z ulicy Kapucyńskiej w Lublinie, darował mu „24 obrazki", Anczyca, Z. Piotrowska — powieść dla dzieci pod tytułem). 20 paźdz. 1912 roku wstąpił St. Cz. do tajnego harcerstwa, wciągnięty w prace konspiracyjne przez kolegę z wyższej klasy, Jana Arnsztajna.

Przyrzeczenie harc. złożył 18 grudnia tegoż roku i otrzymał krzyż harcerski numer 923.

2 listopada 1913 roku otrzymał szarżę zastępowego.

— — — — — — — — — — — — —

W roku 1911

St. Cz. wyjeżdża po raz pierwszy do Suchodołów. Właściciel tego majątku pod Włodzimierzem Wołyńskim, Paweł Gutowski, wziął go tam dla towarzystwa syna swego Adzia. Chodziło o wpływ poważnego i myślącego jedenastolatka na starszego o rok awanturnika, któremu tylko strzelby a konie były tylko w głowie.

St. Cz., którego Gutowscy otoczyli czułą opieką, tęskni jednak za rodziną, przede wszystkim za siostrą, do której w tym czasie bardzo był przywiązany. Korespondencja tych dwojga była dość dziwna. On przepisywał całe rozdziały z „Ksiąg Pielgrzymstwa", informował ją, co czyta i co ma zamiar czytać, ona zaś pisała mu o tym, co się dzieje w domu, interesował[a] się jego lekturą, ale w miarę, a z wielu zdań jej listów czytało się troskę o ojca, chorego już wówczas na dobre.

Wyobraźmy sobie jedenastoletniego chłopca w obcym mu wielkopańskim świecie, gdzie „cugowe konie", „pałac", „kamerdyner" są

(Ciąg dalszy na str. 8)

* Tytuł i podtytuły pochodzą od wydawcy.

Kontynuując tradycje „Kameny" przedwojennej, która szczególnie popularyzowała literaturę narodów słowiańskich, przedstawiamy naszym Czytelnikom lwowski miesięcznik literacki „Żowtień" („Październik"). Z redakcją tego interesującego pisma „Kamena" nawiązała ostatnio serdeczny kontakt, który powinien przyczynić się do lepszego wzajemnego poznania współczesnej twórczości pisarzy ukraińskich i polskich.

ЖОВТЕНЬ

Kwadratura koła

Znany pisarz ukraiński, krytyk i eseista Michał Rudnicki, piszący również i w języku polskim, stykał się we Lwowie z wieloma naszymi literatami. W n-rze z „Żowtnia" („Października") br. znajdujemy jego interesujące wspomnienia paryskie. Występują w nich Staff, Rodin a przede wszystkim Archipenko.

MÓJ najbliższy przyjaciel, student prawa, dowiedziawszy się, że zamieniłem filologię klasyczną na — romańską, zaczął mnie przekonywać, że od 1 września 1910 roku powinniśmy razem wyjechać do Paryża. Przez całe dwa miesiące nie odważyłem się wyznać mamie tego genialnego pomysłu. A kiedy się odważyłem, zawołała: „Ach, Paryż? Przecież tam nie znam nikogo. Kto się tobą zaopiekuje?"

Mamy zapominają, że kiedy ich synowie ukończą lub tylko rozpoczną 21 rok życia, to wtedy nie uznają już niczyjej opieki. Ale skąd wziąć pieniądze? Od pierwszego dnia po ukończeniu gimnazjum i przyjeździe do Lwowa musiałem zarabiać na własne utrzymanie. Ojciec mój zmarł nagle w 54 roku życia, zanim ukończyłem gimnazjum. I dopiero teraz mama przyznała mi się, że zaoszczędziła dla mnie tysiąc koron. Czy starczy na roczny pobyt w Paryżu? Z rozmów ze studentami, którzy już tam przebywali, mogłem wywnioskować, że z taką sumą rozbijać się w samochodach trochę trudno, ale jeśli chodzić pieszo, to z głodu się nie umrze.

Prawdę powiedział pewien dowcipniś: odkąd Fenicjanie wymyślili monetę, życie stało się znacznie łatwiejsze. W Paryżu odnalazłem Sorbonę, pokazałem sekretarzowi tego tysiącletniego uniwersytetu swoją matrykułę, jako dowód, że jestem studentem. Zapłaciłem trzydzieści franków za cały rok szkolny, kupiłem za kilka centymów program wykładów na wszelkich kursach z wszystkimi specjalnościami i udałem się na miasto. I zaraz tuż obok, przy ciemnej jak głucha noc ulicy Champoliona, znalazłem pokoik w hotelu.

Wrzesień w Paryżu to jeszcze lato. Nie dziw, że każdej nocy tysiące bezdomnych śpi na ławkach wzdłuż wybrzeży Sekwany. Przez cały tydzień włóczyłem się po nieznajomym wielomilionowym mieście i wśród różnorodnego tłumu nie spotkałem żadnej znajomej twarzy. Aż pewnego dnia, kiedy jak zwykle wychodziłem z hotelu, aby pospacerować i pooddychać benzyną, dymem i kurzem bulwarów, Szwajcar wręczył mi kartkę: „Przyjechałem wczoraj. Po dziesiątej wieczór będę w kawiarni Soufflot. Staff".

Poetę polskiego Leopolda Staffa znałem dobrze jeszcze od roku 1907 — przeprowadziłem korektę niejednego tomu jego poezji i przekładów. Siedział w towarzystwie jakiegoś obdartego włóczęgi. „Czyżby tu szukał tematów dla lirycznych i filozoficznych wierszy?" I nagle ten „włóczęga" zwrócił się do znanego poety na „ty". Adolf Bazler — tak się on nazywał — przybył do Paryża przed dwoma laty. W Galicji i Wiedniu wypróbował już wiele różnych zawodów i głównie interesował się sztuką: odwiedzał wystawy obrazów, poznawał artystów, miał zamiar wstąpić do szkoły czy akademii sztuk pięknych, bo umiał rysować i lepić z gliny statuetki... A jednak uważano go za pechowca. I nagle jakiś jego cioteczny wujek uczynił wspaniałomyślny gest — ofiarował mu trzysta guldenów, aby zabrał się do jakiejś „pracy". Bazler ze szczerego serca podziękował wujowi i zniknął. Jak się później okazało, pojechał do Paryża.

Z pierwszych słów jego wyraźnie było widać, że w dwóch częściach tej stolicy miał on dziesiątki przyjaciół i setki znajomych. Byli to przeważnie artyści różnej narodowości, niektórzy już „wybitni", inni — przyszłe znakomitości. Po trzech filiżankach czarnej kawy i sześciu — gorzkiej jak piołun wódki Bazler w cudownym nastroju recytował francuskie wiersze, a potem obiecał zaznajomić nas z wybitnymi malarzami.

Kiedy po kilku dniach przysiadłem na ławce w Ogrodzie Luksemburskim, aby poczytać książkę, czyjaś ręka dotknęła mego łokcia. Bazler wskazywał palcem:

— Spójrz na tego elegancika z pełną wdzięku laseczką... cudownie rzeźbiona! Nie zgadniesz, kto to taki... Nie lord i nie syn markiza, ale nikomu nieznany rzeźbiarz. Przygotowuje się do wystawy w „Salonie Niezależnych". Wystawa ta nie uznaje żadnego jury. Wiadomo — niezależna. Płacisz za potrzebne ci kilka metrów kwadratowych ściany i można na niej powiesić co tylko zechcesz, do czego zdolne są twoja ręka i wyobraźnia. W dniu otwarcia ekspozycji mieszczanie — bourgeois płacą wysokie ceny za bilety, rozdziawiają usta z podziwu i potem szczekają.

— I któż to jest ten młody rzeźbiarz?

— Archipenko. Dwadzieścia trzy lata. Zajmuje dwa pokoje i mansardę na Montparnasie. Ojciec — kijowski profesor czy inżynier — co miesiąc posyła mu kilkaset franków. Artysta często spaceruje po ogrodzie i szuka kobiet, które mogłyby mu pozować do jego dzieł chimerycznych, nawet oryginalnych.

Niebawem znowu zobaczyłem Archipenkę w Ogrodzie Luksemburskim. Podszedłem do niego i spytałem nieśmiało:

— Pan z Kijowa? Ukrainiec, rzeźbiarz?

— Zgadł pan, jak paryska wróżka m-me de Thèbes. Ale jeszcze lepiej od niej wie wszystko Bazler. Nazywamy go „encyklopedią nowej sztuki". A pan kto?

Pokrótce opowiedziałem o sobie.

— Literatura, filologia, filozofia? Do tego nie potrzeba uniwersytetu. Połaź pan po wszystkich zakamarkach Paryża od ulicy Vangirard do wzgórza Montmartre'u. Niech pan nie zapomni i o wystawach. W „Salonie Jesiennym" pokazywali swoje obrazy Gauguin, Cézanne, Renoir, Matisse, zwani impresjonistami. „Izmów" w sztuce tu więcej niż pcheł w paryskich hotelach. Proszę też nie omijać i nocnych kabaretów. W ogóle Francuzi nie mają głosów, ale zapamiętale śpiewają chórem. Proszę mi wybaczyć, dzisiaj nie mam czasu. Niech pan zajrzy do mnie na Avenue de l'Observatoire 24, pod samą górą. Zwykle po obiedzie bywam w domu, pracuję, ale to nie przeszkadza ani mnie, ani moim gościom.

Odwiedziłem go po kilku dniach. Wszedłszy do dużego pokoju z podłogą zarzuconą odłamkami gipsu i kamieni, cofnąłem się trochę zmieszany. Na drewnianym podium, podobnym do estrady, stała naga dziewczyna. Głowę miała zasłoniętą nieprzeźroczystym szalem.

— Siadaj pan — rzekł Archipenko. — mam jeszcze pracy na pół godziny. A potem możemy wyskoczyć gdzieś na kolację. Dzisiaj ja funduję.

Archipenko zawiózł nas na ulicę Saint-Pierre, gdzie znał spokojną restauracyjkę z wyszukanymi daniami. Modelka jego miała wilczy apetyt, choć nie robiła wrażenia ubogiej, która głoduje albo nie dojada. Z rozmowy o pogodzie, sztuce i jedzeniu trudno się było dowiedzieć, czy była zawodową modelką, niedouczoną sprzedawczynią czy... studentką.

Zwyczajem francuskim przed każdym z nas postawiono butelkę wina. Kto pije tylko wodę, i tak płaci za wino.

— Taki biust czy tors — spytałem — wymaga wiele czasu?

— Pan mówi do mnie? — otrząsnęła się dziewczyna. — Proszę zapytać jego. Nie mam najmniejszego pojęcia.

— Sam jeszcze nie wiem — odpowiedział Archipenko. — Wszystko zależy od tego, czy Juliette wytrzyma. Każde dzieło sztuki wymaga poszuki...

— Bazler mi mówił, że pan jest uczniem Rodina.

— On ma wielu uczniów i z przyjemnością zaprasza ich do siebie. Nie tylko pokazuje im, jak trzeba lepić glinę i rozbijać kamień, ale i chętnie rozmawia z nimi o celu rzeźbiorstwa i jego przewadze nad malarstwem i architekturą.

Odprowadziliśmy Juliettę do domu, ściślej odwieźliśmy ją na drugi koniec Paryża, za wzgórze Montmartre'u, gdzie do świtu włóczą się paryscy apasze żyjący na koszt swoich kochanek — dziewcząt lekkiej konduity. Kim jest Juliettè?

Najbliższej niedzieli wybrałem się pieszo do pracowni rzeźbiarza i spotkałem go w połowie drogi.

— Pan do mnie? Wstąpimy do kawiarni „Closerie de Lilas". Chociaż tam gwarnie, ale nie nudnie.

Usiłowałem oponować. Za drogo na studencką kieszeń...

— Głupstwo! A co by pan powiedział — w jednej minucie straciłem

MICHAŁ RUDNICKI

tyle pieniędzy, ile by mi ich starczyło na cały miesiąc. Zaprosił mnie do siebie Jérome Poiton, właściciel wspaniałej willi w Saint-Clou. Dziwak, nie wie, co robić z pieniędzmi i zaczął kolekcjonować różne okazy dawnej rzeźby. A czy to jest grecka czy egipska — wszystko mu jedno. Zawiadomił mnie, że na obiedzie u niego będą „szczyty" paryskiej... nie wiem czego. Wstąpiłem do sklepu „Madeleine", aby kupić sobie modny fioletowy krawat. Młoda sprzedawczyni rozkładała przede mną mnóstwo oszołamiających wzorów i wybrałem z nich trzy. Uśmiechnęła się tak znacząco, że się zmieszałem. Kiedy się nachyliła, aby zawiązać paczkę, łypnąłem na jej piersi i ramiona, godne greckiej bogini czy nimfy. Potem spytałem szeptem, kiedy kończy pracę i czy zechciałaby poczekać na mnie przed sklepem.

— Jeśli pan grzecznie poprosi... — odpowiedziała ledwo dosłyszalnie.

Opowiadali mi często przyjaciele, że dziewczęta francuskie umieją jak najlepsze aktorki grać komedie, że ta niby jest sierotą, a tamta ma umierającą matkę czy ojca, albo że mąż je wypędził i są bezdomne. Ale kiedy Francoise Lefort opowiedziała mi o swoim położeniu bez wyjścia, nie wiem dlaczego, ale od razu jej uwierzyłem. Pracowała w kabarecie „Śpiewająca sroka", śpiewała tam, tańczyła, występowała w skeczach i cieszyła się powodzeniem. Mimo to główny aktor tej „budy", znany George Fallot, czepiał się jej i groził: albo miłość, albo... Pewnego dnia uciekła i znalazła sobie pracę w sklepie „Medeleine". I tu powtórzyło się to samo. Właściciel sklepu zamęczał ją przysięgami, że żyć bez niej nie może i że chce się z nią ożenić, chociaż miał już i żonę i dwoje dzieci. Francoise chciałaby sobie znaleźć miejsce kelnerki w jakiejś restauracji albo kawiarni. Ale do tego potrzebna jest protekcja. Nie mam odpowiednich znajomości, chociaż stale bywam w restauracjach i kawiarniach. Cóż, dałem jej tych kilkaset franków, które miałem w kieszeni.

— Od trzech modnych krawatów do takiego gestu droga dość daleka — zażartowałem.

— Pan nie zadaje mi czemuś żadnych pytań, a mógłby... — zachmurzył się trochę Archipenko. — Czy chcę zrobić z niej modelkę, ożenić się z nią, czy tylko zacząć lekkomyślny romans?

— Bazler powiedział mi, że pan ma głowę mocniejszą od serca. Sam więc pan wie najlepiej, czy postąpił rozsądnie.

Archipenko spojrzał na mnie drwiąco:

— Uświadomić sobie swój cel w sztuce to jedna sprawa, a pójść za głosem współczucia — druga. Nie wiem, czy Francoise byłaby dobrą modelką, ale bezbronnym kobietom należy pomagać.

— I co dalej? W ciągu tygodnia albo miesiąca Francoise roztrwoni wszystkie pieniądze i...

— Niech pan nigdy nie liczy roztrwonionych pieniędzy. Powiedział mi to Rodin. Co prawda łatwo mu tak mówić, a ja nawet nie wyobrażam sobie, czy potrafię zwrócić na siebie uwagę paryskich dziennikarzy, kiedy po raz pierwszy wystawię swoje prace w „Salonie Niezależnych".

— Czy będzie wśród nich tors albo biust Julietty?

— Nie wiem — znowu zachmurzył się Archipenko. — Nie mam zamiaru kopiować żywego ciała. Nie chcę poprawiać natury. Nie myślę też odtwarzać ludzkiej głowy. Najbardziej żywy jej szczegół — oczy — w rzeźbie robi wrażenie czegoś martwego.

Zamyślił się i później zapytał:

— A może by pan poszedł ze mną na wieczór do Jéorme'a Poitou. Powiem, że pan też jest artystą.

— Jeżeli mój jedyny, czarny garnitur, schowany na samym dnie walizki...

— Głupstwo! W paryskich salonach przyjmuje się artystów nawet w roboczych bluzach.

Przyjęcie odbywało się na szerokim tarasie, skąd roztaczał się widok na cały Paryż i mętną Sekwanę z barkami. W salonie z trojgiem szklanych drzwi wisiały obrazy nieznanych mistrzów, w kątach i wzdłuż ścian stały posągi, biusty, rzeźby. Przemysłowiec — mecenas przekroczył już siedemdziesiątkę, a jego żonie nie można było dać więcej lat niż trzydzieści pięć. Nie trudno było się domyślić, że Poitou ożenił się z córką jakiegoś ubogiego urzędnika. Wodził za nią oczyma i przysłuchiwał się jej rozmowie, jakby ją słyszał po raz pierwszy.

Zaraz po przyjęciu gospodarz wszczął z Archipenką rzeczową rozmowę. Chciał u niego zamówić biust żony Elizy, podkreślając, że honorarium to sprawa drugorzędna. Archipenko nie odpowiedział „tak", tylko spytał, jak to będzie: przecież madame Eliza na pewno nie zechce przyjeżdżać do jego pracowni. Ponieważ sprawy tej nie wypadało omawiać przy gościach, milioner zapewnił rzeźbiarza, że zawiadomi go za kilka dni po naradzie z żoną.

Przez jakiś czas nie spotykałem się z Archipenką: trzeba było chodzić na wykłady w uniwersytecie i do późna przesiadywać w bibliotece. A poza tym miałem i innych znajomych. Po dziesięciu dniach odwiedzili mnie Staff i Bazler. Od nich dowiedziałem się: madame Eliza bez wiedzy swego małżonka zaczęła przyjeżdżać do Archipenki.

(Dokończenie na str. 10)

DMYTRO PAWŁYCZKO

O kobietach

Przypomnij sobie głos matki,
Jeśli usłyszeć chcesz sumienie,
Przypomnij sobie rękę miłej,
Jeśli przywrócić chcesz szczęście,

I dziewczynce siedmioletniej
Z lalką na rękach,
Siwy, stary człowieku,
Ustąp z drogi.

Łzy i pot

„Nic nam nie trzeba, bo wszystko jest dla tych,
Co po nas przyjdą pod odwieczne gwiazdy.
Ci za nas winni żyć życiem piękniejszym,
Niechaj łzy nasze ku słońcu ich płyną!"

Tak nieustannie mówić zwykł demagog,
A ja mu krzyczę: milcz, stary szachraju,
Za ciebie nikt już żyć nie będzie,
Przyszłości łez twych nie potrzeba wcale!
Zbuduj dla siebie autostradę,
Wymyj dla oczu swych okna — i będą
Drogę mieć dzieci twe i słońce w chacie.

I ani słowa o tych, co na wojnie,
Bo śmierć za wolność — to najcięższa praca,
Śmiertelny pot ludzkości płynie wciąż ku słońcu.

Strach

(Niemal z Tuwima)

Zmarła kobieta, która nie śmiała się nigdy —
Bała się zmarszczek.
Żyło się jej dobrze.
Miała męża i syna.
Nigdy się nie śmiała.
Bała się zmarszczek.
Lubiła być ładna,
I zrazu była ładna,
A potem ustawicznie nowa.
Połysk i spokój jej twarzy
Jakby miały wspólnego coś z lśnieniem podeszew
Nowiuteńkich trzewików na nogach zmarłego.
Lodowym szkliwem strachu powlokły się oczy —
Tak bała się zmarszczek.
Mąż nie wytrzymał jej lęku przed brzydotą
I poszedł do nieładnej, ale uśmiechniętej.
Syn nie wytrzymał spokojności mamy
I wbrew jej woli poślubił nieładną, ale uśmiechniętą.
Wtedy musiała zapłakać żona i matka.
Ale kto śmiać się nie może, ten nie wytrzyma
[swojego płaczu.
Łza wybucha jak granat, jeżeli nie może
Spłynąć suchymi potokami śmiechu.
I zmarła kobieta, która nie śmiała się nigdy.

WIKTOR ŁAZARUK

Święte jezioro

Cisza. Stoją jak legenda drzewa.
Ni szelestu, ni szmeru dokoła.
Tylko w falach jakiś głos rozbrzmiewa.
Może przodków to niejasne słowa.

Słowa? Raczej tony czy półtony.
Jakby śniło się, że gdzieś w głębinie
Dzwonią ciche rozmarzone dzwony,
Dziwnych chórów pieśń spod wody płynie.

Dzwonią dzwony. Śpiew dochodzi z dali.
Dzwonią dzwony! Ścielą się tumany.
Las bez czapki — pielgrzym zasłuchany —
Szepce coś i słów nie może znaleźć .

Przełożył: K. A. Jaworski

Fot. A. Polakowski

SZTUKA NAKRĘCANIA

ROMUALD WIŚNIEWSKI

PATRIOTYZM lokalny wzrasta ostatnio z gwałtowną siłą. W prasie i radio pełno publikacji zatytułowanych „Przed 650-leciem Lublina". Historycy i miłośnicy dziejów miasta ze zdumieniem przecierają oczy — 650-lecie Lublina?

Dnia 15 lipca 1317 roku wielkorządca dóbr królewskich wójt Maciej z Opatowca otrzymał od Władysława Łokietka akt nadający Lublinowi prawa magdeburskie dzięki czemu miasto uzyskało samorząd i 100 łanów ziemi. Rocznica otrzymania lokacji to nie to samo, co 650-lecie miasta. Nasi publicyści są zapewne doskonale w tym zorientowani. Pisanie więc „650-lecie Lublina" dlatego, że wygodniej to i krócej niż pisać „650-lecie otrzymania przez Lublin praw miejskich" jest nie tylko niechlujstwem, ale i wprowadzaniem czytelników w błąd. Zwłaszcza tych czytelników, którzy o dziejach Lublina wiedzą mniej. Miasto jest przecież znacznie starsze. Początki jego giną gdzieś w pomroce odległych stuleci. Wiele tajemnic wyjaśniła ostatnio archeologia. Wystarczy jednak sięgnąć tylko do historii.

Wincenty Kadłubek napisał w swych kronikach, że Lublin nazwę swą wywodzi od imienia córki Juliusza Cezara, która założyła to miasto. Kadłubek okazał się w tym wypadku raczej literatem czy dziennikarzem uprawnionym do posługiwania się wytworem własnej lub cudzej wyobraźni niż historykiem obowiązanym do trzymania się ścisłych faktów. Nie można bagatelizować jednak tego zapisu. Kadłubek żył na przełomie wieku XII i XIII, studiował w Bolonii i w Paryżu, gdzie uzyskał stopień magistra, po powrocie do kraju został biskupem krakowskim (z godności tej zresztą na kilka lat przed śmiercią zrezygnował i osiadł w klasztorze w Jędrzejowie). Był na swoje czasy człowiekiem bardzo wykształconym. Jeśli podawał taką genezę Lublina, to nie znaczy, że strzelał bez łuku. To znaczy, że już wtedy uważano Lublin za miasto bardzo stare. Uważano zapewne słusznie.

W roku 1198 patriarcha dalekiej Jerozolimy wymienił w jednym ze swych pism archidiakona Jana z Lublina. Jest to najstarszy dokument pisany o naszym mieście. Lublin musiał być przy końcu XII wieku dużym skupiskiem ludzkim, bo tak wysoki urząd kościelny jak archidiakonat lokowany był zawsze w ważniejszych miastach. Nie można zatem mylić daty otrzymania praw miejskich z datą powstania miasta. Zresztą dawni mieszczanie lubelscy stale twierdzili, że Lublin otrzymał lokację znacznie wcześniej, lecz dokument ten zaginął, zaś akt Łokietka z 1317 roku jedynie potwierdzał dawne prawa miasta. Niektórzy historycy skłonni są dziś przyznać rację tym pretensjom naszych praprzodków. Przypuszczają, że miasto mogło otrzymać prawa miejskie około 1250 roku, czyli razem z Krakowem i Poznaniem.

O wieku miasta świadczą i jego budowle. Istnieje przekaz mówiący, iż w roku 986 Mieszko I wzniósł na Czwartku kościół pod wezwaniem św. Mikołaja — na miejscu którego stoi obecny kościół. Baszta na Zamku pochodzi z połowy XIII wieku, a zanim ją wzniesiono na wzgórzu zamkowym musiała znajdować się jakaś drewniana budowla obronna. Klasztor dominikański znajdował się w Lublinie już w roku 1260, na tym samym miejscu, co obecnie. W roku 1282 Leszek Czarny zadał pod miastem druzgocącą klęskę połączonym siłom Litwinów i Jadźwingów: jako votum za ten sukces księże ufundował kościół pod wezwaniem św. Michała. Po śmierci Leszka Lublin dostał się w ręce Rusi Chełmskiej i został odbity przez rycerstwo krakowskie i sandomierskie w roku 1302.

Pisanie o 650-leciu miasta dziś, gdy można w każdej chwili sięgnąć do podręczników i encyklopedii, jest przywiązywaniem śliniaczka mocno siwemu już starszemu panu.

• • •

Lublin jest miastem starym — jednym z najstarszych w Polsce. Lublin ma zachowane mnóstwo zabytków architektonicznych, między innymi całą dzielnicę — Stare Miasto, w Polsce jedno z niewielu autentycznych, prawie całkowicie zachowanych.

I jest też jednym z nielicznych, a może nawet jedynym dużym miastem w Polsce, którego bogata przeszłość jest bardzo mało znana mieszkańcom. Przeciętny obywatel Krakowa, Warszawy, Poznania, Gdańska czy Wrocławia wie o swoim mieście znacznie więcej niż mieszkaniec Lublina o swoim. Mamy zabytki, mamy liczne grono historyków, mamy lokalne wydawnictwo... Brak nam jednak umiejętności wykorzystania tych zasobów i możliwości. Brama Krakowska należy do najcenniejszych w Polsce pamiątek średniowiecznego budownictwa fortyfikacyjnego. Wizerunek Bramy jest w kraju lepiej znany niż herb naszego miasta.

Bramę wzniesiono za czasów Kazimierza Wielkiego, w ramach otaczania miasta murami. Powodem tej decyzji był najazd Tatarów zimą 1340/41 roku. Zima była sroga, konie zapadały się po grzbiety w śniegu, kiedy jazda polska pod rozkazami króla pokonała na prawym brzegu Bystrzycy wojska tatarskie. Uciekający Tatarzy masowo ginęli w nadrzecznych bagnach. (Stąd dziś nazwa dzielnicy: Tatary). Jeszcze w sto lat później ten fakt uważany był za najważniejsze wydarzenie kazimierzowskich rządów. Ale skąd o tym ma wiedzieć mieszkaniec Lublina jeśli nie jest historykiem lub jeśli historia nie jest jego specjalną pasją? Ani średnie wykształcenie, ani dyplom akademicki tej wiedzy nie dają. Przewodnika po Lublinie nie kupi się nawet w sklepie PKO za dolary. Ostatnie wydanie przewodnika ukazało się w roku 1959, o nowym ani słychać. Przez ten czas dorosło kolejne pokolenie lublinian, którym należy się jakaś esencja przynajmniej wiedzy o dziejach miasta, którzy — jeśli mają tu żyć i czuć się szczęśliwi — powinni miasto znać i kochać. Brak jest zupełnie tzw. folderów (przepraszam za to nowomodne określenie), czyli 2—3 stronicowych informatorów. Lublin nie może zdobyć się nawet na to, co zrobił niegdyś Kraśnik: wydanie kartki pocztowej, na której byłaby zamieszczona krótka jego historia. Zresztą zwykłych widokówek też jest niewiele i nie w najlepszym wyborze. Nie mogą więc przeszłości miasta poznać dobrze stali jego mieszkańcy, nie mają szans na to i turyści, zwłaszcza zagraniczni, których z każdym rokiem jest więcej. Nie wszyscy zaś przyjeżdżają grupowo i korzystają z usług przewodników PTTK.

Brak papieru na przewodniki nie może być usprawiedliwieniem opuszczenia rąk. Tłumaczenie się „po pierwsze nie mamy armat" — mogło wystarczyć Napoleonowi.

Przy wejściu do niektórych lubelskich kościołów wywieszono tablice z historią tych budowli. W innych miastach podobnymi tablicami obdarzone są nie tylko obiekty sakralne. W Związku Radzieckim, w dalekiej Abchażji na Kaukazie widziałem na starych górskich kasztelach napisy informacyjne w trzech obowiązujących tam językach urzędowych: abchaskim, gruzińskim i rosyjskim oraz w angielskim, francuskim, niemieckim i hiszpańskim. Bułgarzy na ważniejszych zabytkach zawieszają obszerne opisy nie tylko w wielkich językach światowych, ale także po polsku, czesku, czy węgiersku. Czy nas nie stać na coś podobnego? Taką tablicę kilkujęzyczną powinna otrzymać i Brama Krakowska i inne zabytkowe budowle. W Ratuszu należałoby podać nie tylko datę wzniesienia budynku, ale także i najnowszą przeszłość z bombardowaniem go przez Niemców w roku 1939 i odbudowaniem po wojnie włącznie. Tablica przy wejściu na Zamek powinna mówić nie tylko o dacie budowy i kolejnych przebudowaniach, ale także wspomnieć Kazimierza Wielkiego, który chory zimował tu w roku 1352, o wychowanych na tym Zamku pod okiem Długosza synach Jagiełły, o ich częstych pobytach, by wreszcie — idąc poprzez wieki — zakończyć opisem Zamku jako miejscem więzienia patriotów polskich w ostatnim stuleciu oraz opisem zbrodni popełnionych tu przez hitlerowców.

Na Starym Mieście, w Trybunale, ówczesna najwyższa władza sądowa w Polsce orzekała wyroki w sprawach bardzo poważnych, zaś pod Trybunałem niezadowolona z wyroków magnateria urządzała niepoważne procesje żałobne. Stare Miasto upamiętnione jest pobytem Pola, Kochanowskiego, Biernata, Klonowicza, Kraszewskiego, Firlejów, Wieniawskich, Tyszkiewiczów, Ossolińskich i niejakiej pani Kiełbasińskiej, mieszczki zamieszkałej w kamienicy przy ul. Grodzkiej (dziś nr 15), która w nocy z 15 na 16 maja 1575 roku piekąc placki na oleju wypuściła butelkę z olejem z rąk i... spaliła 3/4 miasta. Skąd mamy o tym wiedzieć dziś, chodząc uroczymi, ale brudnymi ulicami, wśród uroczych, ale bardzo zaniedbanych kamieniczek Starego Miasta?

• • •

Na całym świecie panuje moda na kluby i zakłady gastronomiczne w podziemiach. W Lublinie przy ul. Złotej 8 stoi kamienica, która od początków XVI wieku należała do Lubomelskich. W głębokich trzykondygnacjach piwnicach tej Kamienicy od setek lat mieściła się winiarnia. Przed rokiem piwnice posiadające renesansowe polichromie z XVI wieku przekazano na zakład fotograficzny. Właściciel firmy, pan Maron, znany w Lublinie fotograf wykazuje dużo pietyzmu dla przeszłości swej siedziby. Udekorował ją własnoręcznie wykonanymi reprodukcjami starych sztychów i planów, ale to nie zmieni faktu, że piwnice nie są wykorzystane tak, jak powinny być. Zresztą podziemia pod Lublinem nie są w ogóle wykorzystane dla turystyki, choć fama o ich niezmierzonych rozmiarach znana jest w całym kraju. Kilka lat temu wykonano dość dokładną ewidencję lubelskich lochów. Wybranie więc odpowiedniej bezpiecznej podziemnej kilkupoziomowej trasy wiodącej pod domami i ulicami i oprowadzanie nią wycieczek wymagałoby chyba jedynie urządzenia jakiegoś wyjścia i wejścia, przebicia w kilku miejscach murów i wstawienia drabin. A taki podziemny spacer przy blasku pochodni lub świec, zakończony np. lampką miodu pitnego w starej winiarni, stałby się wielką atrakcją dla turystów oraz dostarczył paru ładnych groszy do kasy miejskiej.

W czasie ostatniego remontu Bramy Krakowskiej zamiast starego zegara z dzwonami, które wybijały godziny, zainstalowano zegar elektroniczny — zupełnie jakby w budynku mieściło się muzeum techniki, a nie muzeum miejskie. Starzy lublinianie ze zdziwieniem słuchają hejnału z głośników na Bramie, odtwarzanego z taśmy magnetofonowej. To nie ten hejnał, co dawniej. Chcecie posłuchać dawnego? W Straży Pożarnej służy jeszcze kilku ogniomistrzów, którzy grali niegdyś miastu hejnał na trąbkach w czasie dyżurów na Bramie Krakowskiej.

Centralny plac Starego Miasta nosi nazwę Rynku. Żyje w Lublinie sporo ludzi, którzy pamiętają, że był to rzeczywiście rynek. Dziś nazwa nie odzwierciedla stanu faktycznego. Rynek jest pustym placem, na którym ustawiono jedynie — nie wiadomo po co — kilka wielkich cementowych doniczek z kwiatami. Tymczasem dla prawidłowego pełnienia swej funkcji historycznej przez Stare Miasto Rynek powinien być rynkiem. Oczywiście nie postuluję przeniesienia nań targowiska (choć przekupki i tak rano handlują tam piertuszką). Ale należałoby tam ustawić kilkanaście lekkich, eleganckich kiosków z kwiatami, upominkami, książkami, widokówkami itp. Potrzeba też przywrócić dawną rolę lokalom na parterach kamieniczek w Rynku, to znaczy umieścić w nich sklepy i warsztaty rzemieślnicze. I to sklepy specjalnie dobrane w rodzaju CPLiA, firmowych (np. „Lubgalu", jakiejś wytwórni kosmetyków, zakładów w Milejowie, „Wedla"), sklepy ze sprzętem turystycznym, z luksusowymi wyrobami galanteryjnymi, z dziełami sztuki, czy antykwariatów oraz takich rzemieślników jak jubilerów, zegarmistrzów, grawerów, kaletników itp. Jeśli się tego nie zrobi, nigdy nie uczynimy ze Starego Miasta trasy masowych spacerów tutejszych i przyjezdnych. Stare Miasto w Warszawie odbudowane od fundamentów jest pełne ruchu i życia, bo przechodnie mają możność nie tylko obejrzenia interesującej architektury lecz także poczynienia tam zakupów i załatwienia innych sprawunków.

• • •

W XV wieku Lublin przeżył bunt pospólstwa przeciw patrycjatowi. W roku 1450 mieszczanie napadli na orszak żony starosty lubelskiego Jana ze Szczekocin. W roku 1522 bunt mieszczan przeciwko radzie miejskiej przerodził się w krwawe rozruchy. W roku 1501 Lublin oblegali Tatarzy, jednak nie zdołali wedrzeć się za mury. W roku 1655 weszli do Lublina Kozacy pod dowództwem Daniela Wychodzkiego. W roku 1656 miasto niemal bez walki poddało się Szwedom. W roku 1657 Lublin zdobył sprzymierzeniec Karola Gustawa węgierski książę Rakoci. Przestraszona tym rada miejska zawarła w roku 1661 ugodę z pospólstwem. Do końca wieku XVII w Lublinie nie stanęła już noga obcego żołnierza. Natomiast zbrojnie najechał na Lublin szlachetnie urodzony Jan Rudnicki z Rudnika i porwał, a następnie poślubił pannę Barbarę, córkę rajcy miejskiego Konopnicy. Ojciec jeździł na skargę aż do króla.

W latach osiemdziesiątych XVIII wieku zastrajkował kat miejski, domagając się podwyżki płacy. Z tego powodu trzeba było wypuścić na wolność poniektórych złoczyńców, bo tych którzy czekali na stracenie, zebrało się tylu, że nie było gdzie więzić innych. W roku 1782 na sejmiku szlachty lubelskiej odbywającym się w kościele Dominikanów od słów doszło do szabel i polała się krew. W końcu XVIII wieku rada miejska wydała zarządzenie zabraniające udzielania pożyczek aktorom jako osobom niewypłacalnym. W roku... W roku...

Stary Lublin. Wydarzenia, które rzutowały na losy całego kraju. I sprawy drobne, ale jakże ciekawe: miłość, zdrada, porwanie, walka o władzę w mieście, pojedynki... Tematy na film przygodowy czy romans historyczny, tematy na wielkie spektakle typu „światło i dźwięk". Mało podałem przykładów? Zwróćcie się do historyków. Mazurkiewicz, Kłoczkowski, Gawarecki, Mencel, Wojciechowski, Willaume, Mańkowski — nie jestem w stanie wymienić wszystkich — to badacze dziejów, którzy rezultaty swej pracy potrafią przekazać także w postaci lekkostrawnej publicystyki. Dlaczego nie drukuje się jakichś zeszytów z przystępnie i barwnie podanymi wiadomościami o przeszłości miasta? Dlaczego nikt nie ogłosi konkursu na ten temat, choć wiadomo, że 650-lecie praw miejskich ma być w Lublinie obchodzone bardzo uroczyście. A ten jubileusz, to zarówno odległy rok 1317, jak i nie dawny 1944, o którym też nie ma ogólnie dostępnych popularnych informatorów (np. kilka zdjęć, plan miasta z zaznaczeniem, gdzie miały swe siedziby poszczególne resorty, gdzie Dowództwo Naczelne, gdzie mieszkali wysocy dostojnicy państwowi itp.).

• • •

W przewodnikach turystycznych po Polsce miasto nasze oznaczone jest cyferką „0", czyli jako obiekt turystyczny najwyższej wartości. Cóż jednak z tego, że Lublin istotnie posiada te wartości? "G. chłopu nie zegarek, kiedy nie umie go nakręcać" mówi ludowe porzekadło.

W Kamionce Wilhelma Macha

JAN WOJDAK

KAMIONKA jest inna od pozostałych wsi powiatu ropczyckiego. Nie tylko przez swój krajobraz, nie tylko przez historię ciężkich doświadczeń. Nawet to, że jest już od paru lat ośrodkiem sportowo-wypoczynkowym nie decyduje o jej odmienności w takim stopniu, jak uparty i solidarny wysiłek zmierzający do poprawy warunków bytowania .Chyba przed pięcioma laty mówiło się, że Kamionka wybija sobie okna na świat. Nie był to świat odległy — miasteczko Sędziszów i powiatowe Ropczyce — lecz szło się do niego po bezdrożach i bajorach.

Piętnastolecie po wyzwoleniu zajęła Kamionce odbudowa. Belka na belce nie pozostała ze wsi objętej poligonowym zasięgiem Wehrmachtu, a później rozniesionej działaniami bojowymi. Prawie wszystko powstawało od nowa, chociaż rzadko robiło wrażenie nowości, bo domy klecone z każdego dostępnego materiału, od starej deski czy belki zwieczonej z pól poczynając.

Po tej prymitywnej odbudowie przyszła kolej właśnie na to „okno na świat", czyli 9 km drogi w stronę Sędziszowa. Gdy droga już „stanęła" — po kilku latach ludzkiej mordęgi — ludzie z Kamionki poczęli coraz częściej zaczepiać się w bliższych i dalszych zakładach pracy; po pewnym czasie zawitał do Kamionki pierwszy autobus PKS.

Ten wysiłek drogowy nie był jedynym celem społecznych starań wsi, bo równocześnie konieczną okazała się podstawowa melioracja wielkich obszarów łąk i pól przytykających do rzeczki Bystrzycy, która w tym miejscu przeobraziła się w urocze i fantazyjne, ale z punktu gospodarczego widzenia szkodliwe pozlewiska. Regulację Bystrzycy poprowadzono z myślą odwodnienia niektórych obszarów, nawodnienia innych i wykorzystania spiętrzonych w pewnym miejscu wód na urządzenie ośrodka sportów wodnych. Myśl ta powiodła się Kamionce w całej rozciągłości. Uroczy zalew wśród lasów jest jedynym na obszarze wielu najbliższych powiatów, ściąga od wiosny do jesieni tysiące ludzi z najbliższych i dalszych miast.

Kamionka jest inna niż pozostałe wsie powiatu ropczyckiego także dlatego, ponieważ wydała Wilhelma Macha.

Gdy Mach 2 lipca ub. r. umierał w Warszawie, Kamionka miała wreszcie światło elektryczne, około którego zabiegał podobnie, jak i o inne potrzeby rodzinnej wsi. Serce ciągnęło go w te strony. Przed 11 laty pisał w liście do swego starszego przyjaciela, dr Tadeusza Stanisza z Rzeszowa: *„Wszystkie widziane krajobrazy przymierzam do tych mi najbliższych, rodzinnych [...] tak jestem dumny z mojej biednej i piaszczystej Kamionki"*

Jeszcze i dzisiaj, mimo wielu zmian na lepsze, Kamionkę można nazwać biedną, gdyż liche piaski i małe poletka nie mogą rodzić obficie. Jakże biedną musiała być w latach młodości pisarza, w latach dwudziestych i trzydziestych, gdy chłopi powiatu ropczyckiego, przygnieceni nędzą i poniewierką do ostateczności, zrywali się do buntu i ginęli od kul policji.

Nędza ta nie była obcą Wilhelmowi Machowi, dlatego też malując życie chłopskiego dziecka w latach międzywojennych pisał: *„Bronek i Karolka chodzili latem i zimą boso"*...

A obraz szkoły, w której początek nauki pobierał Wilhelm Mach? Była to jedna izba chłopska z piecem chlebowym w kącie, kryta słomą i z oknami położonymi tuż nad ziemią. Wyskakiwali i wskakiwali chłopaczyska przez te okna do klasy, gdy tylko oko nauczycielki nie dopatrzyło wychowanków. Taki obraz utrwalony został w dziełach Wilhelma Macha, w rzeczywistości bowiem tej szkółki w Kamionce już nie ma, rozebrano ją na opał.

Jest za to inna, nowa, w której kamionkowskie dzieci uczyły się przez jeden rok, postawiona w ramach państwowej inwestycji, przy dużej, jak zawsze, pomocy miejscowych ludzi. Szkoła jest parterowa, jak rzadko gdzie, ale przestronna, czyściutka, ma swój charakter.

3 lipca br. mimo niedzielnego dnia i ferii wakacyjnych szkoła w Kamionce była otwarta i dla każdego dostępna. W korytarzu szkolnym na wysokim postumencie i na tle flagi państwowej duży portret Wilhelma Macha. Na stole pod drugą ścianą wyłożone książki pisarza: *„Jaworowy dom"*, *„Góry nad Morzem*

(Dokończenie na str. 10)

KONTEKSTY BIAŁOSZEWSKIEGO

(Ciąg dalszy ze str. 1)

cych się wtedy pozycji — to okupacyjne remanenty. Ponadto: po czasie napięcia nastąpiło odprężenie — powrót do lat pogardy po to, by je teraz na nowo, z przeszłościowego oddalenia, przeżywać (stąd zalew literatury pamiętnikowo-wspomnieniowej), wzruszać siebie i czytelnika patriotyczno-nastrojowo-boleściwą refleksją, ubrać w zastygły patos, epickim tokiem rozpamiętywać lirycznie przeszłość.

„A gdy na zgliszcza wróci życie,
Na narodowy święty grób,
Gdy kości będą zbierać z szańca,
Aby z nich dźwigać pomnik sławy,
Niech na cmentarnej będzie płycie
Ten napis prosty, napis krwawy:
Tu leży Trup
Nieznanego mieszkańca
Warszawy.
(A Słonimski:
„Mogiła nieznanego mieszkańca").

Pokolenie skamandryckie, które siedząc w czasie wojny przeważnie za granicą i manifestując z bezpiecznego oddalenia swoje przywiązanie i współczucie dla umęczonej ojczyzny, pouczając naród, ten burżuazyjno-romantyzujący element wrócił z bohaterskim gestem do kraju (do stolicy) i wykorzystując nieskrystalizowaną sytuację literacką oraz zapotrzebowanie na tradycyjną poezję znów doszedł do głosu. Oczywiście poeci tego kręgu nie wnosili nowego fermentu, ich twórczość dawno stanęła w miejscu. Rzucili natomiast na rynek wybory swych wierszy, co łącznie z zatrzymaniem się programów szkolnych na Skamandrze doskonale utwierdziło taki stan, że znajomość poezji kończyła się na Tuwimie; jeśli dla wybitnego bądź co bądź krytyka Zawodzińskiego tak było, to cóż dopiero dla tzw. przeciętnego kulturalnego czytelnika, na którego gusty różni pasywiści zawsze skwapliwie się powołują.

Supremacja pokolenia skamandryckiego polegała na tym jeszcze, że uzyskało decydujące wpływy czy to przez redakcję pism, czy przez Związek Literatów, czy wreszcie na tzw. szczeblach.

O ocenach i rozwoju literatury decydowali w zasadzie tradycjonaliści i mieszczańscy konformiści. W sukurs przyszli im — pośrednio i chyba niezamierzenie dla obu stron — równie konserwatywni poeci, dla których typowym i określającym ich tendencje stało się nazwisko Woroszylskiego. Zresztą stara witalistyczna generacja próbowała wtórować generacji prelegenckiej, (która teraz wyrosła na osiadłych tatusiów).

Wydawałoby się, iż w takim kontekście nie ma miejsca nie tylko dla Białoszewskiego, lecz również dla Różewicza. A jednak. Bo Różewicz jest też pewnym regresem. Jest kontynuacją, przetwarzaniem poetyki pokolenia metaforyków, choć przetwarzaniem twórczym. Różewicz na nowo właściwie przetrawia katastrofizm. Podczas gdy jednak w dwudziestoleciu katastrofizm był niepokojem, przeczuciem, ostrzeżeniem, u Różewicza mógł być już tylko przeżywaniem. Motyw okupacyjny stał się dlań wręcz obsesją. Targał humanitarną i uczuciową struną, z tym że owo przeżywanie, bierna relacja bezradnego człowieka, który nie może objąć wyobraźnią ludzkiego inferna, zawarte jest w poetyce dyskretnej sugestii, obrazu kameralnego, niemal baśniowej pośredniości. To dojmujący krzyk.

Lecz ona trzyma w dłoni
tylko jeden okruch
uchroniła go uniosła
biegnąc
przez ogień i wodę.
(„Okruch")

Mimo że antyhumanizm okupacji był czymś nienazwalnym, nie mieszczącym się w wyobraźni, widzenie Różewicza było wstrząsające, ale jakoś ułożone. Tak jak Maupassant jest dziś niedramatyczny wobec np. Camusa. Otóż widzenie Różewicza nie rozsadza w zasadzie porządku świata — wbrew doświadczeniom, które nie mieściły się w jego ramach — i dlatego chyba nie wykracza poza przedstawienie, poza konflikt między obsesją pamięci i urokiem sielankowej wiosny ponieważ z jednej strony mógł się od kiedy zmieścić w ich ramach, z drugiej zaś mógł służyć za argument, za hasło (tak jak np. Nałkowska): oto nowoczesna poezja kwitnie.

Równocześnie winy za widoczne słabości szukano w przerwanej przez okupację ciągłości. Okres okupacji uważano i do dziś właściwie uważa się za białą plamę na literackiej mapie, choć w rzeczywistości twórczość konspiracyjna utrzymała ciągłość. Zakłócenia nastąpiły dopiero po wojnie i pogłębiły się kiedy faworyzowano radosną twórczość deklaratywną.

„Ręce, ręce i krosna!
Ręce — siostry roboty!
Pieśni, pieśni radosna
O dniu roboczym, o złotym!"

W tym kontekście było miejsce na dasze ogniwo w postaci groteski, autoironii, żartu Białoszewskego. Ale do głosu doszedł Różewicz, który na nowo przetrawiał katastrofizm. Był poręczny dla pasywistów, kwiatów i miłości ku grotesce, ku deformacji. To było do przyjęcia dla pasywistów. Dlatego nie było miejsca na groteskę i deformację Białoszewskiego (groteska „Orfeusza" Świrszczyńskiej czy „Święta Winkelrida" Andrzejewskiego i Zagórskiego była innego typu).

Jest jeszcze jeden czynnik, dla którego można mówić o regresie Różewicza. Tendencje katastroficzne były ostatnim słowem poezji dwudziestolecia. Dojrzewał równocześnie nurt groteski typu Witkacego i Gombrowicza. Naturalną kontynuacją i rozwijaniem (po przezwyciężeniu zachwytu dla Tuwimów, gdy zaczęły się samodzielne poszukiwania) tych tendencji była twórczość młodego pokolenia wojennego. Zwłaszcza Gajcy — także Baczyński i Borowski — był i uważał się za następcę katastrofistów (tom „Widma"). Jednak od 1942 r. następuje w jego poezji przezwyciężanie katastrofizmu i apokaliptyczności, by — wykorzystując doświadczenia tamtej poetyki — osiągnąć świetny artystycznie wyraz w 1943 roku, głównie w „Misterium niedzielnym". Czynnikiem neutralizującym przerażenie i apokalipsę był żart, autoironia, groteska oraz — co zaskakująco brzmi w tym zestawieniu — chrystianizm (zwłaszcza u Baczyńskiego. W ten sposób, nurt przetworzonego katastrofizmu spotkał się z nurtem groteski. Wspólnym mianownikiem obu stylów, artystyczną funkcją była aktywna postawa, heroiczny spokój wobec okupacyjnego inferna. Groteska, żart, a także baśniowość pozwalały na artystyczny dystans wobec przygniatających zdarzeń. Silne zaś oparcie o tradycję norwidowską dawało obiektywizujące opanowanie, historyczną perspektywę, pozwalało dochodzić do humanizmu.

„Powiedzą: smutny kraj
i trumna głowie twarda,
bo jakaż miłość jest
co ziarno daje puste —
Lecz grom powszedni gra
jak fletnia mi przy wargach
i ognia czarny cierń
jest jak bolesny uśmiech".
(Gajcy: „Schodząc")

W tym klimacie zupełnie nie było miejsca dla poezji typu Białoszewskiego. Dla tego klimatu znaleziono wyjaśniające niby i usprawiedliwiające formułki, jak „okres błędów i wypaczeń", „kult jednostki". Przecież nikogo nie zmuszano do pisania panegiryków. Inna sprawa, że hołownicze i deklaratywne pisanie było mile widziane. I to przesądzało o kierunku zainteresowań. Postawa ta niewiele się zresztą różniła od przedwojennej. Myślę, że najdobitniejszym przykładem tej „poetyki" może być wiersz pewnego autora, zatytułowany dwuznacznie, z tzw. smaczkiem (to też cecha tej poetyki) „Szesnastoletniej". Był to panegiryk na rocznicę Odrodzenia Polski. Po dokonaniu retuszów, czyli po zastąpieniu Gdyni Nową Hutą posłużył do uczczenia rocznicy Polski Ludowej. Usprawnienie godne patentu!

Jest rzeczą ciekawą (intrygujące studium dla psychologa lub socjologa), że ten typ autorów to przeważnie tradycjonaliści, pasywiści, nie awangardziści, choć były wyjątki w jednym i drugim obozie. A poeta-krytyk, polemizując czy denerwując się dochodzącymi głosami krytycznymi, zapytywał w tytule artykułu naiwnie, jakby o niczym nie wiedział: „Co u licha z tą poezją?".

Wreszcie wybuchła poezja — inna od dworskiej. Okazało się przy tym, że wybuch nie był jednorazowy, spowodowany zapasami z lat szufladowej twórczości, że przeciwnie, poezja rozwijała się bogato i żywiołowo. Wtedy pasywiści, odziani w autorytety seniorów, jeszcze raz przypomnieli sobie stare dobre czasy szydzenia z wszelkiej awangardy. Ale w artykułach ich nie było doświadczonej rady, jakiej można by oczekiwać, tylko zgorzkniała bezsilność i napastliwość.

Wszystkiemu były oczywiście winne dziwactwa typu Białoszewskiego, który od swego debiutu — jak Różewicz dziesięć lat wcześniej — stał się zwornikiem, swego rodzaju prawodawcą dla nowej poezji. W ten sposób zrodziła się nowa choroba — białoszewszczyzny, ograniczona często, niestety, do metaforycznego dłubalnictwa i do deformacji za wszelką cenę. Znów więc czeka się na „zwornikowego" poetę; stąd tyle uwagi poświęca się najmłodszej poezji.

Z powodu różnorakich zakłóceń łańcuch rozwojowy poezji przybrał taką linię: Przyboś, po nim Czechowicz i Żagaryści, następnie Różewicz, wreszcie Białoszewski (i Harasymowicz). Mógłby zaś tak wyglądać: Przyboś — Czechowicz, Żagaryści — Baczyński, Gajcy, Stroiński — Różewicz i Białoszewski — Harasymowicz, Bursa i inni. Nie sposób dziś spekulować, czy i ile opóźnia się nasza poezja z tego powodu, że nie znalazło się miejsce dla Białoszewskich w 1946 r. Teoretyczno-hipotetyczne byłyby też próby rekonstrukcji oblicza poezji według drugiej podanej tu linii.

Jedno wszakże można stwierdzić: że błędy i wypaczenia — rozumiane jednak szerzej tak czasowo jak pojęciowo, bo w historii niemal każdą indywidualność bojkotowali pasywiści — poczyniły dużo zamieszania (nie tylko Zjazd ZLP w Szczecinie) oraz że — jak słusznie napisał Z. Łapiński w recenzji nowego tomiku autora „Niepokoju" — jedno zdanie Białoszewskiego więcej dziś znaczy dla rozwoju języka niż cały tom Różewicza, który zresztą przerzucił się na dramat.

Na czym polega ów wkład tego secesyjnego zdawałoby się autora? Pytanie wykracza poza ramy tego szkicu, zresztą dużo już pisano o autorze „Obrotów rzeczy" i na ogół trafnie wychwytywano poszczególne cechy jego poetyki, choć sporo jeszcze jest do rozważenia. Spróbujemy ją tylko ująć w łańcuchu rozwojowym.

Skamandryci opierali się na fabule, którą rozwijali, dając szczegółowy opis i przeważnie sprowadzając całą sytuację do ja lirycznego (egotyzm, który wytykał im Fik). Weźmy wiersz Słonimskiego „Jaskółka". Autor opowiada, jak to zmęczona jaskółka boi się usiąść na statku, wreszcie siada na maszcie, gładzi piórka i pewnie myśli. Ale autor prowadzi nas do wniosku, że i my „Płyniemy i nie wiemy, dokąd ani po co". A więc rozbudowane porównanie i pointa. Refleksja.

Na zupełnie innych zasadach zbudowane są utwory Przybosia. Np. w wierszu „Słowik" jest obraz nocy i słowika śpiewającego: „wyciągał swój śpiew w cienki włos". Włos kojarzy się z lokiem, mamy więc nową argumentację, powiązanie słowika z miłością. Ponieważ równocześnie noc, którą słowik naglił, mijała, więc obraz słyszalny zmienia się w widzialny: „to skowronek, to świt". Mamy tu łańcuch skojarzeniowy: słowik — to cienki głos — cienki to włos — włos to ukochana; kończy się noc — więc nadchodzi świt — świt to skowronek... Jest w tym intelektualizm, ale intelektualizm konstrukcji. Dynamiczny obraz oparty na asocjacji. Składniowo — nie powiązanie w ciąg fabularny, tylko luźne zestawienie zdań współrzędnych.

Gdzieś w powiecie...

TADEUSZ BARTOSZ

PRZYSUCHA miasteczko, niegdyś własność Morsztynów, później Dębińskich. Urszula z Morsztynów Dębińska, starościna Wolbromska wystawiła w r. 1780 kościół z kamienia ciosowego na miejscu dawnego drewnianego. Miasteczko ma trzy rynki: polski, żydowski i niemiecki. Już na początku XVIII stulecia dziedzice sprowadzili tu rzemieślników cudzoziemców. W pobliżu kopalnie rudy żelaznej, walcownia, pudlingarnia i inne zakłady przemysłowe".

Tak opisał swoje rodzinne miasto Oskar Kolberg. Tam urodził się 22 lutego 1814 roku i wracał często w swych zbierackich wojażach, wydobywał skarby kultury, pieśni, obyczajów ludu zamieszkującego Ziemię Przysuską.

Sto pięćdziesiąt dwa lata minęły od dnia urodzin wielkiego etnografa i folklorysty, muzyka i kompozytora. W Przysusze stoi dom, w którym urodził się jej wielki syn, a miejsce to upamiętnia tablica wmurowana przed dwoma laty przez dzisiejszych mieszkańców powiatowej Przysuchy; pamięć o Kolbergu jest tutaj do dziś żywa.

* * *

Są miasta powiatowe, które się lubi, darzy szczególnym sentymentem, chętnie się do nich przyjeżdża.

Osobiście najbardziej lubę Przysuchę. Może sentyment ten pozostał mi sprzed kilku lat, gdy w składzie redakcyjnej ekipy dziennikarzy penetrowałem miasto i powiat w poszukiwaniu nowych problemów życia, gospodarki i kultury?

W tym mieście można się dobrze czuć. W starym parku, Morsztynów pewnie albo późniejszych Dębińskich, gdzie siedzi teraz „starościna" Anna Tarnowska i sekretarz partii Feliks Krycia, zawsze pełno jest ludzi ściągających tutaj do powiatowej władzy, do komitetu powiatowego partii, po swoje sprawy, nieraz dobre, korzystne, ale może nawet częściej kłopotliwe, trudne, sporne, wymagające decyzji, rozsądnego rozstrzygnięcia i załatwienia.

W sobotnie i niedzielne letnie popołudnia i wieczory też pełno tu ludzi. Przychodzą odpocząć i posłuchać jak w muszli zbudowanej niedawno koncertuje orkiestra.

* * *

Nie wiem, czyim rynkiem był ten główny, centralny plac Przysuchy — polskim, żydowskim czy niemieckim. Dawno już przestał być miejscem targowym. Teraz wokół masywnego obelisku, postawionego dla upamiętnienia poległych partyzantów, zieleni się trawa, rośnie tamaryszek i róże, a „na jeżyka" ścięty żywopłot tworzy rozległy czworobok.

Niedawno, którejś czerwcowej żarkiej niedzieli, na tym placu zatrzymało się wiele samochodów. Przyjechali tu poeci, pisarze i dziennikarze. Byli wśród nich tacy, których książki czytane są w tym mieście, których nazwiska znane są wszystkim: Władysław Machejek i Jan Dobraczyński, Melchior Wańkowicz i Stanisław Wygodzki. Był z nimi prezes Zarządu Głównego ZBOWiD, minister Mieczysław Moczar — sam przecież autor znanych „Barw walki".

Opowiadała im później w Borkowicach „starościna" Anna Tarnowska o Ziemi Przysuskiej, niebogatej, a przecież pięknej, o ziemi Kolberga i bohaterskich chłopów ze wsi Skłoby, zamęczonych przez faszystów i we wspólnym dole w lesie zakopanych, o żołnierzach majora Hubala, którzy nie przyjęli wrześniowej klęski, poszli w przysuskie i koneckie lasy, dali początek partyzanckiej wojnie...

* * *

W gabinecie kierownika wydziału kultury Prezydium Powiatowej Rady Narodowej Mieczysława Wrzoska, w biurowej szafce stoją w równym rzędzie kolorowe tomy: *„LUD — jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka i tańce"*, które *„przedstawił Oskar Kolberg, członek kor. Akademii Umiejętności w Krakowie oraz Towarzystw naukowych w Paryżu, Petersburgu, Lizbonie i muzycznego we Lwowie"*. Kierownik Wrzosek jest członkiem zarządu istniejącego w Przysusze od 1960 roku Przysuskiego Towarzystwa Kulturalnego im. Oskara Kolberga. Można wiele

U autora „Trzech zim" utwór „Ptaki" to niemal poemat, w którym kłębi się mnóstwo motywów, który dzieje się w wymiarach kosmicznych niemal. Ptaki są elementem organizującym, podkreślającym atmosferę oraz pewne znaczenie całego „tła". Są znakiem, a jednocześnie wyrazem czegoś co się piętrzy gdzieś daleko, przeczuwane, ale nie określone. Ptaki to jakaś złowieszczość. W obrazy żagarystów często jest wkomponowany motyw zimy, śniegu, polarności.

„Bursztynowy ptaszek" Różewicza składa się z trzech strof-obrazów, z motywem jesieni. Z jesienią kojarzą się kolory. I tak jak Przyboś autor przenosi znaczenia, lecz podstawiając do tego samego epitetu inne określenie: najpierw jest ptaszek „bursztynowy", potem „rubinowy" (w związku z czym kojarzy się motyw krwi), wreszcie „lazurowy" (czyli jakiś spokój, ale wiążący się ze śmiercią). Mamy wykorzystanie poetyki asocjacji, ale zarazem wymianę motywów-znaczeń. W ten sposób całostki niezależne od siebie tworzą nie zdania, lecz obrazy, które jak gdyby nakładają się na siebie. Lapidarność osiąga autor nie jak Przyboś przez elipsę, tylko przez niedopowiedzenie, pośredniość. Delikatny, kruchy obraz staje się targnięciem nerwów.

U Białoszewskiego motywy ptaków, ujęcia krajobrazowe, które zwykle służą do wywoływania lirycznych przeżyć, prawie nie występują. Autor „Mylnych wzruszeń" eliminuje liryzm (u Różewicza jest ukryty pod oschłością). Eliminuje nie tylko bezpośredni subiektywizm, jaki spotykamy u skamandrytów, lecz także pośredni, ukryty w obrazie, jak w awangardzie. „Po cóż szamotać się w krzaku własnego serca?". Jego poetyka to poetyka obiektywizmu i realizmu. Realizmu szczegółowej obserwacji, wbrew pozorom zdeformowanego świata (cechę tę omówił K. Wyka na przykładzie wiersza „Do NN***"). Stąd ptaszek w „Słowach dokładanych do wiśniowych wołów" to komponent obrazu stodoły, wprowadzony na płaszczyźnie wyobrażenia.

Białoszewski zmienił strukturę zestawień. Eksploatuje przede wszystkim sferę znaczeń, czego skutkiem przewaga rzeczowników i ograniczenie opisowo-lirycznej przymiotnikowości epitetów. Skupia się nie na zestawieniach słów, ale na semantycznych propozycjach jednego słowa, stąd analityczne rozczłonkowanie słów, stąd sugestie znaczeniowych skojarzeń zawartych czy to w neologizmach, czy w pokładach brzmieniowych (onomatopeiczność zupełnie różna od tuwimowskiej):

„w dzwonach palonych
polanych biało"

Dzwony to jednocześnie dzwona (szczapy), a szczapy „polane biało" to chyba brzozowe, lecz równocześnie — polana. Poetyka Białoszewskiego przypomina trochę w jednym ze swych aspektów znane bajki-zagadki — o Jacusiu, o Kiejstucie itd. (np. kiej stu cię całowało...). Oczywiście bajki są w gruncie rzeczy szablonowe (i nieraz mało dowcipne),natomiast autor „Rachunku zachciankowego" wydobywa z podobnego procesu — o najrozmaitszych wariantach, na różnych płaszczyznach — bogactwo znaczeń i opalizacji, i wielofunkcyjności poszczególnych słów. Ukazuje możliwości języka poetyckiego i to nie w dziedzinie tworzenia metafor, nowych kombinacji zestawień słownych, lecz w sferze nowych znaczeń zawartych w jednym słowie. Słowie adekwatnym do rzeczy. Słowie przedstawieniu.

Zdzisław Jastrzębski

Festiwal w Szczecinie

Panorama malarstwa

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

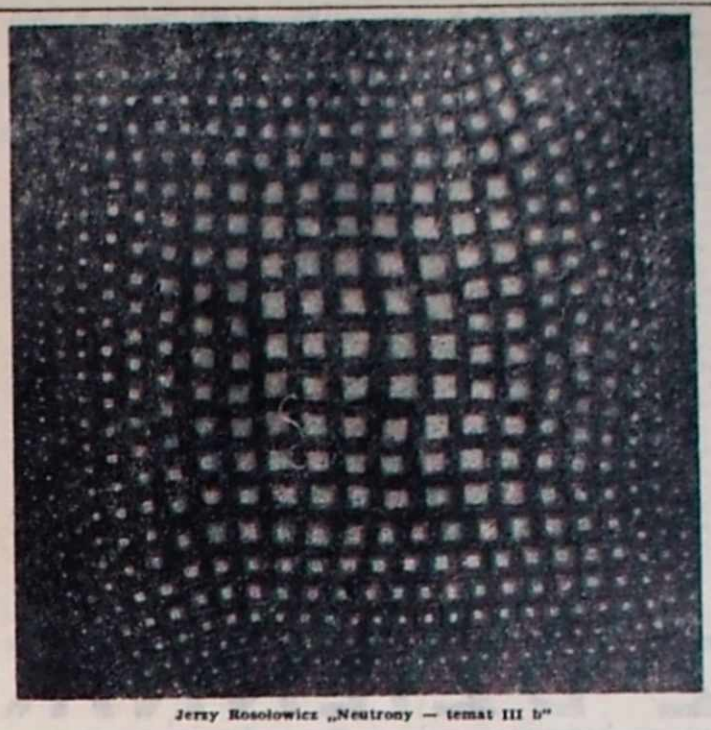

Jerzy Rosołowicz „Neutrony — temat III b"

Do wstępnych eliminacji 3 Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie zgłoszono kilka tysięcy obrazów. Decyzją jury na wystawie znalazło się 413 prac, których autorzy reprezentują wszystkie środowiska krajowe. Festiwal jest więc najpełniejszym przeglądem sytuacji polskiego malarstwa: współcześnie powstającego, co, jak wiadomo, niekoniecznie utożsamia się ze współczesnym artystycznie. Zastosowanie tej chronologicznej zasady ma swoje dobre i złe strony. Pozwala np. pokazać szeroką panoramę wielu tendencji i nurtów plastyki, zarazem uniemożliwiając wyeksponowanie kierunków i prac przewodnich, które po prostu nikną w natłoku innych realizacji. Rzecz zrozumiała, że krytycy, lub bardziej zorientowani odbiorcy sami znajdą klucz do ekspozycji. Co jednak mają zrobić ci wszyscy, których kontakty ze sztuką są dość sporadyczne, albo dopiero się zaczynają? A takich, sądząc po wielogodzinnej obserwacji, przychodzi codziennie do Zamku Książąt Piastowskich bardzo dużo.

Tak czy inaczej, wybrać z kilku tysięcy kilkaset obrazów to dowód troski o rangę imprezy. Szkoda jednak, że jurorom zabrakło odrobiny cierpliwości i nie odrzucili jeszcze stu. Ekspozycja zyskałaby wówczas na przejrzystości i wyższym poziomie, który obecnie jest niezwykle zróżnicowany.

Idea festiwali szczecińskich — pokazanie wszystkich aktualnie żywotnych tendencji i nurtów polskiego malarstwa współczesnego, wszystkich środowisk okręgowych — idea niewątpliwie słuszna, wymaga chyba pewnej korekty na przyszłość. Trzeba wybrać pomiędzy salonem otwartych szeroko drzwi, ograniczonym jedynie metrażem sal ekspozycyjnych, a wystawą osiągnięć naszego malarstwa, w której zmieszczą się na pewno różne kierunki, kontrowersyjne, zachowawcze i pełniej osadzone we współczesności, ale jakością konkretnych realizacji zmuszające do uwagi i zastanowienia.

Festiwal daje przecież pewien pogląd na sytuację naszego malarstwa. Choćby dlatego, że spotkamy na nim prawie to wszystko, co aktualnie interesuje malarzy różnych środowisk. Dodajmy dla jasności: malarzy odmiennych i odległych od siebie generacji, którzy nierzadko kontynuują koncepcje ukształtowane przed wielu laty.

W rezultacie obok postimpresjonizmu i jego pochodnych znajdziemy surrealizm Leszka Rózgi i malarstwo przedstawicieli „nowego realizmu", wśród których wybitną pozycję zajmuje Jerzy Krawczyk, stosujący w swojej twórczości zasadę podwójnej iluzji, co przynosi dzieła o znacznej autonomii, pomimo ich całej wielowarstwowej tkanki treści literackich.

Poważną grupę tworzy malarstwo operujące znakiem, aluzją figuralną czy metaforą, malarstwo zmierzające do nawiązania bliższego kontaktu z rzeczywistością humanistyczną. Metody techniczne prowadzące do tego celu są bardzo różne, lecz najczęściej stosowanym jest zabieg pogrubiania faktury, dający efekty o dużej sile ekspresji; niestety, bywa i tak, że poza zręcznym rozłożeniem farby obraz jest pusty, wyjałowiony z jakiejkolwiek problematyki ideowo-artystycznej. Dość często funkcje nośnika treści, wyjaśnienia intencji autorskiej, spełniają metalowe części maszyn, jakieś kratki, kółka zębate, pomiędzy którymi naklejono fotografię lub dorysowano twarz kobiecą (Janusz Tarabula: „Portret").

Grand Prix Festiwalu otrzymał Józef Hałas za zestaw prac. Są to znane pejzaże — „Pejzaż późny", „Pejzaż zmienny III", „Góra jasna" — o specyficznej koncepcji, wyróżniającej zdecydowanie autora w środowisku nie tylko wrocławskim, gdzie przebywa, ale i krajowym. W porównaniu z innymi obrazami Festiwalu, najczęściej bogatymi technicznie i formalnie, dzieła Hałasa uderzają ascezą. Wielka płaszczyzna graniczące u góry z wąskim pasmem niknącym poza ramą, jako jedyny akcent posiada nieregularne rzędy grudek farby. To skupione, nieefektowne malarstwo zaskakuje swoją formułą, która przekonuje, że malarstwo to ...kolor, faktura i płaszczyzna. Prawdy banalne, to fakt, ale zrealizowane w sposób odświeżający ich treść.

Na tej samej ścianie obok płócien Hałasa wiszą obrazy Jana Tarasina. Drugi pretendent do głównej nagrody pokazał „Antykwariat" i „Zbrojownię". Tu znów faktura dochodzi do głosu, układa się w kształty, znaki, czytelne pomimo złożonych wątków.

Przyznanie głównych nagród Festiwalu dało okazję do dyskusji o kryteriach oceny, elitarnych tendencjach środowisk plastycznych, dyskusji prowadzonych w różnych grupach zawodowych i społecznych. Na wystawie słychać było wypowiedzi, które ni mniej ni więcej zarzucały organizatorom.... „demoralizację młodzieży!". Bez względu na wartość takich głosów, żywe reakcje ludzi — manifestowane w sali wystawowej, w kawiarniach i redakcjach szczecińskich — są dowodem rzeczywistego zainteresowania Festiwalem. Zresztą odbiorcy mają szansę określić ściślej swoje upodobania, albowiem redakcja „Głosu Szczecińskiego" ufundowała „Nagrodę publiczności". Do połowy sierpnia najwięcej zwolenników zyskali Janusz Hankowski z Gdańska i Konstanty Mackiewicz z Łodzi, obaj związani z tendencją figuralną.

Na szerokim tle malarstwa krajowego liczna grupa plastyków lubelskich (poza jednym) zniknęła bez wyraźniejszego śladu. Sąsiedztwo kilkuset obrazów, nierzadko wybitnych, ujawniło wszystkie ujemne cechy naszych malarzy: brak indywidualności, konformizm artystyczny, naiwność myślenia plastycznego. A przy tym, może właśnie na potwierdzenie aktualnej sytuacji, nagrodę ufundowaną przez Prezydium WRN w Lublinie, bo i takie w tym roku przyznawano, dostał plastyk lubelski, którego według mojej opinii, obdarzono zbyt dużym kredytem zaufania.

Jan Ziemski nie otrzymał nagrody — ani w Lublinie, ani w Szczecinie. Natomiast znane z niedawnej jego wystawy indywidualnej „Kompozycje" wisiały na Festiwalu obok prac Jerzego Rosołowicza — w specjalnie wyodrębnionej „salce propozycji". Nie chciałbym, aby fakt tej „lokalizacji" uznano za jedyny argument przemawiający za wyjątkowo wysoką pozycję artystyczną Ziemskiego. Osobiście jestem głęboko przekonany o trwałej wartości dorobku Ziemskiego, czemu dawałem wielokrotnie wyraz na łamach prasy lubelskiej i dlatego nie chcę tu powtarzać całego uzasadnienia mojego sądu. Przy okazji chciałbym jednak zacytować słowa Ewy Garzteckiej, która we wstępie do katalogu Festiwalu ,pisząc o płótnach Gierowskiego, Dłubaka i Opałki, stwierdza, że: *„Inna, [postawa] bardziej aktywna, usiłuje — środkami plastycznymi, oczywiście — ingerować w układ zjwaisk naszego życia. Dąży do ustalania obiektywnych stosunków i współzależności zachodzących pomiędzy poszczególnymi elementami, próbuje wprowadzać ład, porządek i organizację przestrzeni malarskiej traktowanej nie jako symbol, lecz jako symboliczny wycinek przestrzeni niepomiernie bardziej rozległej. I znów, tylko celem ilustrującego przykładu wymienię prace: Henryka Stażewskiego, Romana Owidzkiego, Jana Ziemskiego".*

Z pozostałych środowisk Polski wschodniej najwyraźniej było widoczne białostockie (przede wszystkim M. Wołkowycki, a także D. Łabanowska, która coraz konsekwentniej odchodzi od koncepcji Potworowskiego). Z Kielczan jedynie Zbigniew Kurkowski pokazał malarstwo indywidualne, sugestywne dynamiką abstrakcyjnych form. Zestaw rzeszowski tylko potwierdził głęboki kryzys, w jakim od pewnego czasu znajduje się to środowisko.

3 Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego w Szczecinie zakończy się we wrześniu. Już dziś posiada on poważną rolę w polskim życiu artystycznym, jest najszerszym forum spotkania większości nurtów naszego malarstwa. Ale to tylko jedna funkcja Festiwalu. Drugą, równie ważną, którą spełnia z roku na rok coraz lepiej, jest jego udział w tworzeniu tradycji kulturalnej miasta i województwa, w nasycaniu jej nowymi wartościami. I stąd jego olbrzymie znaczenie.

---

dobrego powiedzieć o tym Towarzystwie, o grupie, coraz liczniejszej, ludzi zakochanych w swoim niedużym miasteczku. Dziwne ono losy przeszło. Zapewne ma jakąś milenijną przeszłość, ale dokładnie nic nie wiadomo.

Co innego pobliskie Skrzynno, które choć dzisiaj jest tylko lichą osadą, szczyci się przecież 900-letnim sławnym rodowodem.

W 1887 r. Kolberg pisał o Skrzynnie, że jest to *„miasteczko prywatne nad rz. Radomierzą, starożytne, niegdyś zwane Skrzyń lub Wielkie Skrzynno. Osada ta w r. 1123 przez Bolesława Krzywoustego nadaną została słynnemu Piotrowi Duninowi, skąd potomkowie jego Duninami ze Skrzynna się mianowali. Inny wszakże dokument opiewa, że Skrzynno w r. 1136 należało do kapituły gnieźnieńskiej, później do biskupów poznańskich, w r. 1288 do Mestwina księcia Pomorskiego, a w r. 1294 przeszło na własność klasztoru Cystersów w Sulejowie. W roku 1308 Władysław Łokietek zatwierdził dawniejsze mieszczan swobody; toż i następni królowie. Ostatnimi czasy należało do generała Malletskiego, miało różne cechy rzemieślnicze i młyny. W r. 1523 wzniesiona została kaplica i szpital św Ducha, dziś w ruinach. Kościół parafialny obszerny, wedle podania fundacji Piotra Dunina, przed kilkunastu laty odnowiony. Bitwa w r. 1708 główny cios miastu zadała; spalone zostało przez obie wojujące strony (Szwedów i Sasów). Jeszcze dziś, w polu ku Skrzyńsku znaleźć można stare miasta bruki".*

Więc o Skrzynnie, lichej dzisiaj osadzie, mówiono już w 1123 roku. A pierwsze historyczne „latopisy" o Przysusze pochodzą dopiero z 1490 roku. Dobre i to. Miasto zostało założone przez Antoniego Czermińskiego, małogoskiego kasztelana. Potwierdzenie lokacji otrzmało od króla Augusta II (1713 r.) i Augusta III (1745 r.). Utraciła te swoje miejskie prawa Przysucha w... 1910 roku i dopiero w 1958, gdy „wybuchł" tu powiat, stolica jego za miasto została z powrotem uznana.

* * *

Siedemdziesięciu trzech członków liczy Przysuskie Towarzystwo Kulturalne. Ale przed kilku laty była to tylko nieliczna grupa ludzi. Posłował wtedy z Ziemi Przysuskiej inspektor szkolny Piotr Wrzeszcz. On i kilku innych — dyrektor samogorzowskiego liceum ogólnokształcącego Stefan Kotlarczyk, kierownik szkoły podstawowej w Przysusze Stanisław Krasowski, kierownik szkoły w Starym Skrzynnie Marian Wróblewski, nauczycielka szkoły w Rusinowie Maria Sala, Mieczysław Wrzosek, Marian Slufarski, sekretarz komitetu powiatowego partii Marian Grzybowski — postanowili założyć towarzystwo społeczno-kulturalne. Miasto i powiat związane są z Kolbergiem: jakież możliwości działania kulturotwórczego! Na początek postanowili organizować corocznie „Dni Kolbergowskie".

Zamysł grupy działaczy przybrał realne kształty. Opracowano założenia organizacyjne, regulamin, plany pracy. Do towarzystwa zaczęli wstępować coraz nowi ludzie. Już tradycyjną stała się „Wieczornica Kolbergowska", urządzana każdego roku w lutym. Nowa szkoła w Przysusze otrzymała imię Kolberga. Nawiązali kontakty z Polskim Towarzystwem Ludoznawczym w Poznaniu, gdzie dla swoich poczynań pozyskali sobie gorącego miłośnika i znawcę dorobku Oskara Kolberga — profesora Józefa Burszę, który był już w Przysusze kilka bodajże razy i miał tu prelekcje o wielkim etnografie.

No i „Dni Kolbergowskie". W tym roku w czerwcu odbyły się w Skrzynnie, bo jak raz obchodziło ono swoje millenium (prawie). Najwięcej zachwytu wzbudził przysuski chór międzyszkolny, 700-osobowy, śpiewający autentyczne ludowe pieśni, zapisane przez Oskara Kolberga.

„Jechali sumno aputacy z wojny,
sukali sobie kwatery spokojny.
A jak znaleźli kwaterę spokojną,
to się pytali o dziwcynę strojną..."

Przysuskie Towarzystwo Kolbergowskie wzięło na swoje barki wszystko, co do działalności kulturalnej zaliczyć tu można. A więc powstał wspomniany chór międzyszkolny; pan Stanisław Krasowski, nauczyciel muzyki, sam po trosze kompozytor, jest jego duszą. On to aranżuje spisane przez Kolberga ludowe stare pieśni od Przysuchy, od Skrzynna i Skarżyska, zapomniane może już dzisiaj w miejscach gdzie powstały. Rozumie on czułość wielkiego etnografa i folklorysty, muzyka i artysty z ducha — do tych klejnotów starej ludowej kultury.

Towarzystwo nawiązało kontakty z TWP. Jest w Przysusze jego oddział. Urządzają odczyty, jeżdżą z nimi po całym powiecie, a wśród wielu tematów, jest i ten dla Przysuchy najważniejszy: Kolbergowski.

W Przysusze nie ma domu kultury. Porządnego, powiatowego, jaki ma Lipsko, Pińczów... Ale w Przysusze jest klub międzyspółdzielniany. Mieści się w Domu Strażaka i zastępuje powiatowy dom kultury. I chór tam odbywa próby, i prelekcje kolbergowskie tam odbywają się, i wieczornice.

Chcą jednak w Przysusze prawdziwego domu kultury. Od 1957 roku ciułają grosz; obliczyli, że potrzeba im 4 miliony. Ludzie opodatkowali się po pół procent od swych zarobków, trochę handel z nadwyżek przekazuje. Uzbierali już około miliona. Mało. Oglądali się na SFBSiI, podobno coś tam obiecywał, ale teraz ma przed sobą również budowę internatów, więc chyba już nie da...

„Starościna" Tarnowska jeździ uparcie do Warszawy, stuka do różnych drzwi. Mówią, w Przysusze również, że gdzie diabeł nie może... I mają nielichą nadzieję, że energiczna „starościna" wykuka tam coś jednak...

Może. Ale przysuscy działacze kulturalni nie ustają. Dzięki ich działalności Przysucha staje się środowiskiem, które ma, wydobywa, pielęgnuje i rozwija nieprzemijające wartości kulturualne.

KONGRES KULTURY POLSKIEJ

Z DZIENNIKÓW I WSPOMNIEŃ

JÓZEFA CZECHOWICZA

(Ciąg dalszy ze str. 3)

czymś codziennym, a łatwo zrozumiemy, dlaczego tak garnął się ku książkom, zamiast używać letnich wywczasów. Zresztą książka, w szczególności zaś książka patriotyczna, miała w nim od dawna entuzjastycznego czytelnika. Ale polował także. Jeździł z dziećmi wolantem do folwarków. Rysował ołówkiem pejzażyk: Widok folwarku Murawiec.

Kiedy Adzio Gutowski z korepetytorem i matką wyjechał nad morze, St. Cz. został w Suchodołach sam (Gutowski doglądał gospodarki) i bobrował w bibliotece. W sierpniu odwiedził go sąsiad Gutowskich, Adzio Niemcewicz, namiętny jeździec, który według listu St. Cz. „najdzikszego konia ujeździ".

Pod koniec sierpnia przyjechał mały Gutowski i znów zaczął się korowód polowań, jazdy konnej, tenisa itp. „Tylko te trzy godziny mam wolne — skarży się St. Cz. — podczas których on robi lekcje..."

Ciekawy jest ustęp listu o książce Pawlikowskiego: „Już dawno ci pisałem, że mam do czytania „Mistykę Słowackiego" i... zgadłabyś? Ja się tej książki boję, jest tam tyle pojęć tak różniących się od moich, że gdybym tę książkę przeczytał, byłbym najzupełniej zmieniony i nie wiem, czy ta zmiana byłaby na dobre, czy też na złe..." W innym liście pisze o tęsknocie: „...myślę, że to jest takie uczucie, które czyni człowieka lepszym; a jednakże tak mi dobrze jakoś, gdy ulżę tęsknocie i trochę zapłaczę..."

Korespondencja brata z siostrą miała cechy niewinnej egzaltacji. W jednym liście ona mu przesłała zasuszony bratek, on jej, w odpowiedzi — reprodukcję obrazka Bilińskiej („Mój kolega").

Józef Czechowicz, syn Pawła i Małgorzaty z Sułków, urodził się jako czwarte dziecko w rodzinie, czwarte i ostatnie. (Katarzyna-Kazimiera, urodz. w dniu..., Stanisław, urodz. w dniu 18 kwietnia 1899 roku, Jan, urodz. w dniu.... 1902 roku, Józef, urodz. w dniu 15 marca 1903 roku o godzinie 9 minut trzydzieści rano).

Urodził się w suterenie, w tej samej, w której zmarła jego matka, w domu numer trzy, przy ulicy Kapucyńskiej w Lublinie (obecnie dom Morajnego, naówczas — własność Banku Handlowego w Warszawie).

Ochrzczono Józefa Czechowicza w katedrze lubelskiej w nawie po prawej stronie, przy starej chrzcielnicy. Wisiał tam wówczas i długo jeszcze potem w ołtarzu baptysyjnym obraz Anioła-Stróża, obecnie umieszczony w prawym przedsionku kościoła.

Obrządku chrztu udzielił Józefowi Czechowiczowi w dniu 19 marca 1903 roku o godzinie 19 ksiądz Józef Kobyliński.

Rodzicami chrzestnymi byli: Franciszek Zych, dozorca, lat 42 i Marianna z Sułków Aleksińska, siostra Malg. z Sułków Czechowiczowej, lat około 35. Poza tym przy chrzcie asystowali: Katarzyna Czechowicz, babka Józefa, Jan Aleksiński, mąż Marianny, rodzina Franciszka Zycha i Bartłomiej Kołodziej, służący, lat 32.

— — — — — — — — — — — — —

Pierwszą szkołą, do której uczęszczał J. Cz., była szkoła elementarna rosyjsk[a] jednoklasowa, czterooddziałowa, prowadzona przez A. N. Afanasjewa. Mieściła się w rynku, w kamienicy Trejglowej, obok kamienicy Sobieskich, bliżej Trynitarskiej Bramy. Była tam jedna duża sala trzyokienna na pierwszym piętrze — izba szkolna dla wszystkich czterech oddziałów.

Matka zapisała tam J. C. jesienią 1913 roku. Chłopiec miał już wówczas lat dziesięć, był rozwinięty jak na swój wiek, płynnie czytał i nieźle, choć bardzo krzywo pisał po polsku. Prze[z] trudności języka rosyjskiego przebrnął i w czerwcu 1914 roku zdał z nagrodą do drugiego oddziału tejże szkoły. Kiepsko było tylko z „akcentem" rosyjskim i kaligrafią oraz śpiewem. W roku 1914, jesienią, już po rozpoczęciu działań wojennych, szkołę przeniesiono na ulicę boczną* od Bychawskiej.

Tam J. C. zdał egzamin, w końcu roku szkolnego otrzymał promocję do oddz. III-go. Kiedy we wrześniu 1915 roku okupanci organizowali wespół z miejscowymi działaczami szkolnictwo polskie, J. C. zapisał się do szkoły polskiej przy Katedrze i zdał egzamin do klasy szóstej (odpadły groźne przedmioty rosyjskie zakon bożij, rachunki w obcym języku itp.).

30 czerwca 1916 roku promowano J. C. do klasy VII z nagrodą, — w dniu 16 czerwca 1917 roku ukończył on Pierwszą 7-klasową Szkołę Miejską (męską) w Lublinie summa cum laude.

— — — — — — — — — — — — —

Nazwiska nauczycieli owej szkoły: z klasy VI: J. K. Ludwiński, Leokadia Wołłodko, ks. W. Ulenicki.

Wychowawcą był J. K. Ludwiński.

Z klasy VII: Leokadia Wołłodko, Alina Kuncewiczówna, ks. Jan Szlachetka.

Wychowawcą była A. Kuncewiczówna.

— — — — — — — — — — — — —

Nazwa szkółki rosyjskiej: Lublinskoje, gorodskoje, adnokłassnoje użskoje naczalnoje uczuliszcze.

Nazwa szkoły polskiej: Pierwsza ludowa 7-klasowa szkoła męska w Lublinie (tak w 1916 roku).

Pierwsza męska VII-klasowa Szkoła Miejska w Lublinie (tak w 1917 roku).

— — — — — — — — — — — — —

Najdawniejsze wspomnienie: w zielonym ogródku wózek dziecinny, na którym siedzę wraz ze Stasiem. Pszczoła lata dookoła nas. Płaczę. Dziś w roku 1936 w tym miejscu, gdzie był ów ogródek, stoi budynek z czerwonej cegły. Przez kilkanaście lat było tam własne dynamo Banku Handlowego Warszawskiego. Pamiętam szary, stary płot ogródka. Okryty był jakimiś porostami, liszajami, których się brzydziłem. Z drugiej strony podwórka, gdzie dziś murek oddzielający od Hotelu „VICTORIA", stał również płot, ale ładny, opleciony dzikim winem. Za tym płotem skrzypiała studnia, pompa żelazna.

Kiedy jeszcze chodziłem w ciemnoniebieskiej aksamitnej sukience (aksamit bardzo spłowiały...) nosił mnie ojciec na rękach po Krakowskim Przedmieściu. Między ludźmi chodziły maszkary niezwykłej wysokości w śpiczastych czapkach astrologów, z plakatami na plecach i piersiach. To byli ludzie-sandwicze na szczudłach. Plakaty mówiły o wyborach do Dumy.

— — — — — — — — — — — — —

Staliśmy z ojcem przed bramą domu. A ta brama wówczas była drewniana. Nagle w ulicy rozległy się krzyki i strzały. Uciekający Kapucyńską rewolucjonista czy opryszek strzelał na oślep z rewolweru w tył. Policjanci zasypywali go w biegu dosłownie gradem kul. Nim ojciec oprzytomniał, nim skrył się w bramie pociągając mnie za sobą, usłyszałem brzęk. Kula rozbiła szybę tuż obok nas, w pierwszym oknie obok sali bankowej. Następna wplątała mi się w sukienkę, urywając mi rąbek.

Nic mi się nie stało. Ani ojcu.

— — — — — — — — — — — — —

W sąsiednim podwórku stali żołnierze. Czerkiesi i jakiś oddział piechoty. Brodaty unteroficer (pamiętam naszywki) przynosił mi często cukierki. W zamian za nie pozwalałem mu się wozić w wózku, choć w zasadzie bardzo stroniłem od obcych. Pewnego dnia deszcz padał. Ulicą szli żołnierze i brodacz z nimi.

Usłyszawszy, że idą na wojnę, zawołałem ciągnąc matkę za spódnicę:

— Mamo, chodźmy na wojnę!

Był to rok 1905

— — — — — — — — — — — — —

Najmłodszego brata, Janka, nie pamiętam zupełnie. Podobno był jasnowłosy. Zmarł na dyfterytus.

— — — — — — — — — — — — —

Ojciec prenumerował gazety. Także i tygodnik „Świat".

Lampa naftowa paliła się na stole. Siedziałem na wysokim, zielonym kufrze i oglądałem obrazki w „Świecie". Były niezrozumiałe, ale śliczne. Za szafą płakał Staś. Nie chciał się ubrać w spodenki, wolał chodzić w sukience. Pobiegłem do matki. Chcę mieć te jego spodenki. Włożyłem je. Zdaje mi się po latach, że w tym zdarzeniu był cień rywalizacji z starszym, pieszczonym przez matkę bratem.

— — — — — — — — — — — — —

Już chodziłem w długich butach i zielonej kapotce z kołnierzem wielkim jak karazja, gdy ojciec oprowadzał nas wieczorem po mieście iluminowanym gwiazdami płonącego gazu, mnóstwem świec i kolorowych trójkątnych lampionów. Rynsztoki stały się wówczas liniami ognia od kaganków-kopciuszków, płonących blisko jeden obok drugiego. Ciepło biło od nich i swąd.

Podobne ciepło pamiętam i z innych dni. W Zaduszki tak samo grzały świece na grobie Janusia, mego brata. Zmarzłem wtedy bardzo. Po drodze dopytywałem się, czy Rosjanie też mają zaduszki, a potem jak po rosyjsku: Kasia.

Powiedziano mi, że Jekatierina.

Wróciwszy do domu biegałem z kąta w kąt, aby się rozgrzać i wołałem na głos to dziwne, obce słowo, które mi się bardzo podobało: — Jekatierina, Jekatierina!

Ale nie mogłem sobie wyobrazić, że moja siostra może mieć coś wspólnego z tym słowem.

— — — — — — — — — — — — —

Z najdawniejszych wspomnień, z roku 1905 i 1906 to chyba wszystko. Nie, jeszcze był Józiek Franciszkowej, dozorczyni, duży łobuz. Grywał na organkach i lubił się bawić papierowymi żołnierzami wycinanymi z arkusza. Tę manię odziedziczyliśmy po nim obaj ze Staszkiem.

Notatki pamiętnikowe 1920 roku

8/VIII w Lublinie. Zapisuję się do wojska jako ochotnik w biurze werbunku ochotniczego przy ul. Krakowskie Przedmieście 39. Potem udaję się do koszar. Barak nr 61 przy ulicy prowadzącej do Kraśnika.

9/VIII Ranek w koszarach. Napychamy sienniki. Poznaję najbliższe otoczenie: kapral Stachórski, Czerwonka, Siesicki, Romaniuk. Sierżant Kowalski. Cieślak, Ficek, Gnyp.

9/VIII—29/VIII. Ćwiczenia. Porucznik Sarnowicz, porucznik Wójcik, Chorąży. Plutonowy Megger.

29/VIII — Wymarsz z Lublina. Ładują nas na pociąg. Otwarte platformy wloką się straszliwie, stoją godzinami na małych stacyjkach. Podróż trwa do 1/IX. Por. Mamczur i podpor. Strutyński. Rany na nogach.

1/IX Postój nocny w Krasnymstawie, w dworku mieszczańskim z gankiem. Śpię na podłodze. Słomy nie ma. Rano wyruszamy w stronę Zamościa.

2/[IX] Marsz po deszczu. Noc na deszczu. Spod Oslawic słychać działa.

3/[IX] Marsz po deszczu. Nocuję na wozie, skrzynie uwierają mnie kantami.

4/IX Noc pod dachem. Nocleg w Wólce Kraśniczyńskiej, w chacie na słomie. Dostałem żołd półpolowy. Doszły wieści o pogromie 4 i 24 pułku piech. przez Budiennego. Jem śliwki. Nachodzą mnie refleksje, że z taką kompanią jak nasza, niewiele da się zrobić na froncie. Do rozpaczy mnie doprowadza, że inspekcyjny upuścił mój list w błoto: adres może się zamazać i list nie dojdzie do Matki.

5/[IX] Wyruszamy dalej. Deszcz i glina. Nocleg przy cerkiewce.

6/IX Grabowiec zdobyty. Nocleg w Grabowcu, w zrujnowanej plebanii, gdzie kupy śmieci w pokojach oraz poplątane druty telefoniczne, a mebli nie ma.

7/IX Wieczorem wkraczamy do Zamościa. Rany na nogach.

8/IX Przy ogarku czytam Zaratustrę. Na strychu koszar znajduję zepsutego Hotchkissa oraz piękną ikonę. Objadam się marmoladą amerykańską. Chodzą wieści, że pułki ponad liczbę 200 mają być zniesione. Więc nasz 208, ten los także czeka.

12/IX Już jesteśmy przydzieleni do 4 p. p. Leg., który się tu w Zamościu uzupełnia. Jestem w 9 komp. Nowy szef komp. sierż. Michoński Józef. Projekty wydrukowania opowiadania w „Żołnierzu Polskim":

14/IX Byłem w mieście. Kupiłem sobie zeszyt mały, wąski, jak do słówek francuskich i notuję w nim uwagi oraz koncepcje do pisania.

17/IX Rozdano nam „żelazne porcje", więc wymarsz bliski. Uzupełnia się uposażenie techniczne kompanii, jest nawet wyznaczony podoficer gazowy, tylko masek nie ma. Poza sprawami żołnierskimi interesuje mnie biblioteczka kompanijna czwartaków. Zbłądziła do niej nawet jakaś niemiecka książka o sztuce z licznymi a ładnymi reprodukcjami.

20/IX W południe załadowano nas do wagonów towarowych. Jedziemy na front litewsko-białoruski. Znów długie postoje na stacyjkach, zatarasowanych sznurami transportów. Opary, wilgotne okolice, paszcze dział zakryte brezentem.

21/IX Brześć.

22/IX Białystok. Wyładowujemy się z pociągu w Waliłach. Marsz do Gródka, potem [przez] Krynki, Roś, Piaski, Mosty, Różankę, Załudek, Bielicę do Niesiłowicz, naturalnie w ciągu jednego dnia. Marsze, potyczki, bitwy etc. obejmują okres na tym terenie od 22/IX do 7/X 1920 roku.

27 września. — Dziś cały wieczór padał deszcz drobny i dokuczliwy. Plecaki i mundury nasiąkły wilgocią, a osuszyć się nie było gdzie. Postój na ugorze obok szosy. Zwinąłem się w kłębek na wózku karabinu maszynowego i tak zasnąłem.

28 września. — Rano, we mgle świtu, głos ostry jak strzał: ruszać! ruszać! Zerwałem się z mego „łoża". Nie wiem, co mi się śniło, ale pamiętam, że ile razy czujny sen przerywały mi jakieś szmery, widziałem nocne niebo i krzyże cmentarza na wzgórzu, a na twarzy czułem deszcz i mgłę. Ruszyliśmy bez śniadania. Marsz. Marsz. Marsz. Przez cały dzień nic się nie zdarzyło. Spotkaliśmy tylko artylerię n-tej dywizji. Obiad: krupnik z wonią kawy (bo w niemytym kotle). Zjedliśmy dopiero o 3 po południu. Deszcz pada.

29 września. — Cały dzień marsz, marsz. Zmęczenia nie czuję, chodzę jak mechanizm. Nasza czwórka kołysze się podobnie, jak czwórki przed nami i za nami, i to pomaga iść. Drogi rozmokły. Gliniasta Hrubieszowszczyzna daje się nam we znaki. Są miejsca, które wprost przerażają: szerokie na kilka metrów bajory [!] żółtej mazi, nie dające się obejść w wąwozie drogi. O zmierzchu, gdy wyszliśmy na gościniec i droga zaczęła się piąć pod górę, niebo przed nami okrył rumieniec łuny. Cały nocleg batalionu oświecała aż do późna w noc. Front blisko.

30 września. — Chmury idą. Deszcz ustał. Idziemy naprzód. Kilka armat z nami. Konie ciężkie, grubonogie, stawiają kopyta jak kolumny, a działa toczą się, podskakują, zarzynają kołami w glinę. Minęliśmy trzy spalone, dymiące jeszcze wsie, z których została jedynie nietknięta ogniem altana w ogrodzie dworskim, pyszniąca się szklanymi kulami: czerwoną i srebrną. Te jaskrawe błyskotki w ciężkim świecie marszów, niepogody i brudu zdenerwowały mnie. Cios kolbą wystarczył, by prysły. Nocowaliśmy, tym razem koło cerkwi, której zarys w mroku podobał mi się bardzo. Prasłowiańska dzwonnica z wieloma okapami użyczyła mi ochrony przed nocnym niebem i wiatrem.

1 października. — Idę w gromadzie tylu towarzyszów, a ciągle jakbym był sam. Trudno się dzielić z kimkolwiek myślami, bo one nie takie. Mówi się o marszu, o chlebie, papierosach, możliwości bitwy, ale nie o tym, co się myśli. I widzę, że inni — tak samo.

Postój pod cerkiewką dłuższy, niż zazwyczaj. Kucharze ugotowali kawę i — dziw — można ją było wypić na gorąco. Rozejrzałem się w okolicy. Cerkiew i dzwonnica piękne i stare, cóż kiedy zieloną blachą kryte, za cerkwią źródło i rzeczułka, spadająca w dolinę podmokłą. A dalej ciemny bór. Droga prosta, wchodząca w lasy. Po południu, gdy byliśmy już po 5-godzinnym marszu i po jednym odpoczynku w rowach przydrożnych, echo przeszyło las. Sierżant powiedział: szrapnele gdzieś biją.

2 października. — Może to tu walczyli ongiś powstańcy? Brzeziny żółkną, sosny za wiatrem pachną. Pewno tu umierali. Nad drzewami idzie huk detonacyj, odbija się o pnie, ogarnia nas ze wszystkich stron. Czuję napięcie nerwowe. Spoglądam na blade niebo październikowe. Po latach znów tu zadudnią armaty, a młodzieńcy dwudziestoletni będą, jak my, przeczuwali jutrzejszy bój.

4 października. — Wczoraj nie notowałem nic. Nie było czasu. Rano wprost ze snu ruszyliśmy na linię. Szeregami padliśmy wzdłuż popsutego toru kolejowego, na zboczu naszym. Szczekały „maszynki". Widziałem obłoki i świat bardzo wyraźnie. Potem linie przed nami załamały się i splątały. Słyszałem grzmot ręcznych granatów, zarazem denerwujący i podniecający do tego stopnia, że gdy nas wreszcie zerwano z ziemi komendą, wrzasnąłem „hurra!" takim głosem, jakiego nigdy jeszcze dotąd moje płuca nie wydały.

Reszta dnia była jak kołowrót zdarzeń. Sama potyczka była zdumiewająca. Nie przepuszczałem, że tyle rzeczy może się zdarzyć w tak krótkim czasie. Salwy, strzały, saperzy naprawiający mostek pod ogniem, ranni, ponury zachód słońca — wszystko się skotłowało, zmieszało, zlepiło. Wieczorem przy ogniskach jeńcy w brązowych szynelach grzali ręce w milczeniu, stojąc wielkimi gromadami.

5 października. — Myjąc się w studni zauważyłem, że mam na nadgarstku zdarty spory płat skóry. Jak to się stało i kiedy? Po obmyciu poczułem, że piecze, więc zawinąłem bandażem. Marsz od szóstej rano do drugiej po południu. Przed nami znów bitwa. Ciągną wozy z rannymi. Na jednym chłopak może 18-letni, podchorąży, z przestrzelonymi kolanami. Ile razy fura ruszy gwałtowniej, kropelka łzy spada z kąta oka na prawą stronę. Obok niego żołnierz z obandażowaną piersią nerwowo kręci papierosa. A chłop obojętnie konie popędza. Zobaczyłem też kolegę z uniwersytetu. Leżał wosko-wo-żółty, z białymi ustami. I jeszcze jednego widziałem, z nogą rozbitą. Szedł, opierając się na karabinie, jak na szczudle.

Zerwałem ze wstydem bandaż z mojej ranki...

6 października — Znów łuna przed nami. Przy drodze, w rowie, zabity. Leży twarzą ku ziemi, nie ma czapki. W tym miejscu, gdzie na głowie włosy rozchodzą się promieniście — mała ranka. Przeszedłem obok niego. Nie idziemy już czwórkami. Jest wolny marsz. Rzuciłem okiem na naszą gromadę, na trupy i na lasy hrubieszowskie...

8/X Zostaję skierowany do kadry celem zwolnienia. Wędruję z czterema kolegami pieszo i podwodami do Mostów z powrotem. W Mostach koło godz. 16 łapiemy już ruszający ze stacji transport. Jedziemy do Kielc.

9/X W Warszawie po raz pierwszy. 10 i 11/X Dni w Kielcach, potem długa i zawiła podróż.

14/X W Lublinie na stacji zbornej, skąd zwolniono mnie 17/X 1920 roku.

18/X Powrót do Seminarium, na ławę szkolną.

→

* W maszynopisie miejsce niewypełnione.

„Opowieść o papierowej koronie"

1 maja, poniedziałek.

Były lekcje, jak zwykle. Czytałem „Fajdrosa" Platona w ogródku, na huśtawce. Wieczorem, koło szóstej, w dużej sali, już na scenie odbyliśmy próbę przedstawienia szkolnego. Po próbie, przy księżycu, powędrowaliśmy między wody, na Róg. Było nas czterech: Zenek, Edek, Jaś Dalecki i ja. Potem oni poszli do Tulutek. Kiedym samotnie wracał na zieloną górkę, przysiadłem na kamieniach, spod brzóz patrzyłem na księżyc. Oddawałem się smutkowi bez przyczyny.

2 maja, wtorek.

Dziś w zastępstwie za p. Hankę uczyłem w klasie pierwszej. Śmieszne te białoruskie maleństwa! W południe trzeba się było wybrać do Zarzecza. Potem wziąłem karabinek od kapitana Jasińskiego i wyruszyłem na łowy. Nad Wierem przychwyciłem czaplę. Strzeliłem do niej ukryty za wałami kolejki wąskotorowej. Aż się osypał piach! Czapli urwało głowę. Pobiegła kilka kroków bez głowy i to wstrząsnęło mną. Mam dość polowania. Nagle przypomniała mi się wojna... Jeszcze karabinek dymił, gdy wyszedł z lasu Zenek. Powędrowaliśmy, bo i gdzieżby — na Róg. Strzelaliśmy tam do celu, do sosen. Ale i sosen było mi żal. Kule, wychodząc z drzew, rozdzierały je tak straszliwie! Zenek odchodząc podał mi rękę. Zatrzymał dłoń w dłoni, jakby chcąc mi co powiedzieć. Ale nie powiedział nic. Po powrocie do Słobódki wypłynąłem na jezioro. Nad wieczorem zerwała się burza. Dobiłem do brzegu po dwóch godzinach walki z falą i wichrem.

3 maja, środa.

Święto narodowe. W szkole pełno obcych. Przyszli rodzice i sąsiedzi. Do kościoła udaliśmy się tłumnie, całą procesją. Ile razy patrzę na dzieci w smugach słońca stojące w nawie kościelnej, myślę o tych czasach, kiedy jako malec chodziłem z matką do Dominikanów w Lublinie. Ludzie byli wtedy olbrzymami, wśród których płakałem, nie mogąc dojrzeć ani organów, ani księdza. Wznosili się nade mną jak wieże.

Więc — nabożeństwo. Potem — przedstawienie dla dzieciarni oraz atrakcja niezwykła: fotografia. Fotograf z Brasławia z olbrzymim aparatem długo celował obiektywem w twarze zalane słońcem. Bo to było przed gankiem. Jakże nie pasował do szumiących za nim brzóz! Poszliśmy na Róg we dwójkę: ja i Zeńka. Rozmawialiśmy o wszystkim i niczym i o podróży na księżyc. Pod starą jodłą doszliśmy do nieporozumienia. A trudno je było zlikwidować, bo czasu zbrakło. Musieliśmy wracać na drugie, wieczorne przedstawienie.

Wieczorem siedziałem samotnie na ganku. Księżyc urósł.

4 maja.

Czytam „Fajdrosa". Pusto bardzo, gdy Zenek nie przyjdzie do szkoły. Popołudnie spędziłem na jeziorze i znów złapała mnie majowa burza. Chciałem lądować u Zarzeckiego brzegu, ale tam brzeg wysoki i taka fala szła, że musiałem zawrócić. Ufając swej szczęśliwej gwieździe wypłynąłem na głębie. Woda ryczała pod łodzią, a ja wiosłowałem. Wysiłek ten mógł się równać tylko z 55-kilometrowym marszem 9 kampanii czwartego pułku do Mostów. Ledwom wszedł do pokoju, runąłem na łóżko. Zasnąłem w tejże sekundzie.

5 maja.

Pani Hanka zabrała moje dzieciaki i z całą gromadą ruszyła na łąki. A ja, z adiutantem Zbyszkiem, wymknąłem się w stronę Tulutek. Błądziliśmy po wzgórzach. Znajdywaliśmy piękne rośliny bagienne. Jagodowe były, pachnące, z wystrzępionymi liśćmi. Nad Wierem natknęliśmy się na Edka i Zeńkę. Łowili ryby. Ale fala biła w piach, bo wiatr wiał i chmurzyło się. Niewiele złapali. Poczęstowali nas brzozowym sokiem utoczonym do dzbanka. Zbyszek strzelił na ich cześć z karabinu i rozeszliśmy się.

1922

Tegoż 5 maja, wieczorem.

W domu nic nowego. Miałem list od Stasia. Było już ciemno, gdy zasiadłem przy stole, aby pisać te notatki. Przyszła pani Hanka. Wróżyła mi z ręki. Wywróżyła podróże, życie niespokojne, sławę oraz niesławę... To ma być. Ale jak to się zacznie? Jestem na krańcach Europy ubogim nauczycielem. Czym będę za lat dziesięć, w roku 1932?

6 maja.

Sobota. Lekcyj tylko trzy godziny, a potem hajda ze strzelbą w pole. Po co ją noszę, skoro nie zamierzam polować? Chyba żeby mieć pretekst do włóczenia się po świecie. Za Myślówką spotkałem Zeńka. Brodził po zalanej wodą łączce. Zbierał kaczeńce. Dał mi ich całą garść. Mokre. Ozdobiły mój pokój, to prawda. Jednak smutno mi przy tych kwiatach. Słucham jak zasypiająca Gienia mówi pacierz za ścianą.

Jeszcze jeden list. Tym razem niespodziewany — od Jaśki Perczyńskiej.

7 maja.

Nie byłem w kościele. Przy dźwięku dzwonów włóczyłem się po górach. Zastrzelił się żołnierz z Batalionu Celnego, Wołkowicz. To z miłości.

8 maja.

Podczas jednej z przerw rozmawiałem w pokoju u siebie z Zeńką. Dialog był niedługi: — Dlaczego pan taki? Czy pan w Boga nie wierzy?

— Jeszcze wierzę...

— Wolałbym, żeby mnie pan nie lubił...

— Żebym cię może nienawidził?

— Może nawet tak...

Schwyciłem biblię ze stołu, rzuciłem nią w kąt. Posypały się kartki. Zenek pobladł.

— Co pan? Co pan?

W tejże chwili pomyślałem! Trzeba ci tego było? Spłoszyłeś to wrażliwe dziecko białoruskie. Dłużej będzie tę chwilę pamiętał, niż całą twoją dobroć.

Ale podczas drugiej przerwy, gdy chciałem zostać sam, zapukał do mego pokoju. No i wszedł, uśmiechnięty. Powiedział:

— Przepraszam.

Z lekkim sercem poszedłem do chaty, w której leżał Wołkowicz. Była tam komisja lekarska i żandarmi. Był i kapitan. Samobójca leżał na ławie. Po kątach błyskały ciemne miednice pełne krwi. Znaleziono w jego kuferezku książki „magiczne". Biedak czarował, aby miłość była mu posłuszna. Ale usłuchała go tylko ta druga — śmierć...

9 maja, wtorek.

Gdy z naręczami kwiatów dzieci wracały z lasu, spotkał wycieczkę naszą pogrzeb nieszczęśnika. Porucznik Dobrzański stał wpatrzony w grób. Wiatr rwał na nim płaszcz. Jezioro jest szare, jak oczy umarłego. Wieczorem poszedłem pieszo do Brasławia. Z Ignasiem Sają nagadałem się w pustej izbie szkolnej, przy pełni. Podłoga zalana była srebrem księżyca. Rozmowa jak zwykle o Jasi, o Maryli, o Lublinie.

10 maja.

O świcie wróciłem do Słobódki. Dzień jakiś gwarny, jak na „rozerwanej ulicy" (to wyrażenie matusi). Chmurno jest. Wichr dmie, ogłupia i pustoszy. Błądziłem w pobliżu Tulutek, ale nie spotkałem nikogo. O zmierzchu wziąłem się do czytania. W tym nastroju czytać Dostojewskiego, to szaleństwo. Więc wyjmuję z kufra „Priestuplenje i nakazanie". Czytam do późnej nocy, póki mi ostatnia świeca nie zgasła.

Zasypiając rozważam problem: winy moje są małe; tylko wskutek nieznajomości życia wydają mi się winami. Dobrze jest być czystym tak jak ja. Sen daje błogość.

11 maja.

Pani Hanka jest chora. Jadę w jej zastępstwie do Brasławia urzędowo. Inspektorat żąda jakichś informacyj poufnych. Sekretarka inspektora twierdzi, że moja kierowniczka zachorowała „dyplomatycznie". Nie wiem. Zresztą nic mnie to nie obchodzi.

Gdy wracałem późnym wieczorem, zdarzyła się rzecz niezwykła. Pod krzyżem za Myślówką nagle skoczyło coś w ciemnościach i krzyknęło strasznym głosem. Krzyknąłem do Burego, bo to Bury mnie wiózł:

— Wilk!

— Panoczku — powiedział — żeby to nie było co gorszego...

Pognał konia. Dopiero w Słobódce przyznał mi się, że miał na myśli widmo samobójcy.

12 maja.

Słońce. Pąki na drzewach pękają. Bazie i listki. Lekcje minęły pogodnie. Gdy się skończyły, zaszedł do mnie. Pokazałem mu list siostry, w którym były słowa: jeśli go lubisz, przepadło, będziesz go lubił...

Przemyśliwałem o poemacie. Treścią jego miała być noc świętojańska. Ognie stosów oświetlałyby tańce. W dymie zjawiliby się naraz skrzydlaci ludzie. Byliby to synowie niebios, o których GENESIS wspomina. Rzecz kończyłaby się fanfarą na cześć pokolenia, które się z tych istot narodzi, gdy się połączą z córkami ziemskimi.

(Dokończenie na str. 11)

Zbyt długa zima

JANUSZ DANIELAK

POGŁASKAŁEM kajak.

— Ty stary psie — powiedziałem do niego. — Ty stary psie.

Władowaliśmy się w to bystrze, w ten wodospad właściwie, między kamienie, zupełnie bezmyślnie, bo przecież z daleka słychać było szum, potem więcej niż szum, bo prawdziwy rwetes wody, krzyk. Może nawet coś myśleliśmy. Ale nie wiadomo co, na pewno nic mądrego, tylko Inka powiedziała — „Coś szumi" (A może po prostu kusiło nas to?) I zaraz było już za późno. Kajak poleciał na łeb na szyję, przeskoczył przez skalisty próg, dał nurka, wyskoczył, owinął się wokół trójkątnego głazu, odwróceni tyłem pocwałowaliśmy dalej w dół wyrywając z dna kamienie i ocierając się o pnie nadgniłych drzew. I wreszcie zmęczona woda wyrzuciła nas na tę piaszczystą plażę, na której stałem teraz i głaszcząc go mówiłem pieszczotliwie:

— Ty stary psie... Ty stary psie..

— Dlaczego mu wymyślasz? On jest mądrzejszy od nas.

— Jak to dobrze mieć kogoś takiego mądrego — powiedziałem.

Odwróciłem kajak do góry dnem, teraz on był ślepy i bezradny. Pieczołowicie opatrywałem mu rany, bolesne pęknięcia przesyconego gumą brezentu. Krople wody parowały szybko, szybciej, niż zdążyłem pomyśleć, że wciąż jest piękna pogoda, lipiec, długa niedziela, raz w roku tak długa niedziela i jeszcze nie widać jej końca.

— To było dobre — powiedziała gryząc suchara. — Nareszcie miałam stracha.

— Nigdy niczego się nie bałaś? — zapytałem. Niepotrzebnie, bo wiedziałem, że ona nigdy niczego się nie bała, a najmniej przeszłości. Miała dziewiętnaście lat, piekielnie mocne ręce i zdrowy żołądek, który bez wysiłku trawił stare konserwy. Także pierwszy rok studiów za sobą, rok triumfalnego pochodu wśród uśmiechów, z tą piękną lipcową twarzą, wśród podejrzanych uśmiechów profesorów i zbyt serdecznych pozdrowień asystentów. I patrząc na nią teraz wciąż jeszcze się dziwiłem, czemu to zawdzięczam, że jest ze mną. Bo ja jednak trochę się bałem.

— Miałam prawdziwego pietra — powiedziała.

— Dobra — odrzekłem. Bo nic jej nie wierzyłem. Gryzła suchara, ale tylko dlatego, że była głodna.

— I przedtem bałam się. Bałam się, że będziesz płynął z kim innym.

Płynąłbym sam. Najbardziej ciemną rzeką wśród ciemnych rzek, w cieniu zaciekłych promieni lipcowego słońca, między nieskończonymi polami zwiędłej wikliny i trzcin. A w każdym lesie między drzewami błąkałyby się strzępy jej głosu i słów.

Więc zacząłem ją całować jak wariat. Ale i ona była naprawdę zwariowana, na tej plaży, o której tak niedawno nie wiedzieliśmy jeszcze nic. Potem położyliśmy się na piasku twarzami do słońca. I zawisliśmy tak dość długo na tym spadochronie nieba: kołysany wiatrem opadał powoli: aż wreszcie dotknęliśmy ziemi i wtedy powiedziałem do niej: „Nic ci nie wierzę", a do kajaka:

— No bracie, z tymi łatami jest ci jeszcze bardziej do twarzy, czas ruszać.

Zacząłem go spychać do wody, jednak nie mogłem jeszcze przełknąć tamtego i dodałem:

— Nigdy bym nie przypuszczał, że ta rzeka potrafi tak zwariować.

— Popatrz, taka dobrotliwa ciotka.

Tak nazywała tę rzekę, bo miała jej przedtem za złe, że jest taka szeroka i jakby otyła, ociężała trochę i nic nie mogło jej wyprowadzić z równowagi. Teraz zresztą też, jakby zawstydzona tym niestosownym wybrykiem, pokornie niosła kajak na plecach, jak zmęczona, stara klacz.

Falowało roztopione w wodzie słońce.

I znów trwała ta niedziela, była dopiero połowa lipca, zwykłą niedzielę poznawaliśmy tylko po tym, że na brzegach gęściej stali wędkarze, robotnicy i chyba profesorowie, chłopi, młodzi żołnierze, stary cygan i ksiądz. Te ryby, to było bardzo demokratyczne szaleństwo, ciche i pełne skupienia. Licho wie, jakim sposobem dostawali się w najdziksze ostępy, gdzie zdawało się nigdy nie było człowieka. A jednak mieli jakieś sposoby. Nie mogli tylko znaleźć sposobu na ryby, bo nie widzieliśmy nigdy, żeby któryś złowił choć jedną. Ale nie skarżyli się. Milczeli. (Zdawało mi się chwilami, że w tym milczeniu jest jakaś przygana a nawet potępienie tego, co robię, tego mojego zapomnienia. „Tak", powiedział wreszcie jeden, „płoszycie nam ryby").

Rzeka wydostała się z lasu i od razu zza wzgórza wyskoczyło miasteczko, białe, wyszorowane ostrymi promieniami, wykąpane w tym lipcowym słońcu. Rozkołysane, ale stateczne. To było widać na podmiejskiej plaży, gdzie na starannie rozłożonych kocach opalały się nieco otyłe panie a panowie siedzieli pod karłowatymi drzewkami grając w karty. Tylko chmary małych chłopców wariowały w wodzie i wiedziałem, że za chwilę opadną kajak krzycząc „niech nas pan przewiezie, niech nas pan przewiezie". I oczywiście, kiedy Inka pójdzie do miasteczka kupować chleb i konserwy, będę ich woził, w górę i w dół, tam i z powrotem, trochę teraz oślepiony szczęściem (nie bez protestów kajaka, który był starym turystycznym wygą, weteranem wszystkich rzek i jezior, a nie podmiejskim promem).

Tylko ten jeden chłopiec w pasiastych kąpielówkach nie widzi nas. Co chwila wdrapuje się na urwisty brzeg i skacze w dół, trzaskając brzuchem o wodę.

— Utopisz się, wariacie — mówi Inka.

— Dobrze, że się urodziłem — krzyknął skacząc z pochylonej wierzby. Zaraz wypłynął prychając i krztusząc się, ale widać było, że mu ta woda smakuje i będzie skakał tak długo aż matka, napół roztopiona przez słońce, rozlana na patelni koca, jakoś się wreszcie skupi, podniesie i wlepi mu solidnego klapsa.

— Słuchaj — powiedziała Inka, kiedy wypłynęliśmy już za miasto. — Nie zmieścimy się dzisiaj w namiocie.

— Oczywiście, że nie zmieścimy się dzisiaj w namiocie.

— Mam już dosyć tych gumowych materaców, nadętych jak adiunkci.

— Pewnie, że przydałoby się coś bardziej normalnego.

Z obu stron rzeki, ze stoków łagodnych wzgórz, spływał zapach rozgrzanej trawy. Mała żaglówka pracowicie pchała się pod prąd, razem ze starym człowiekiem i jego brodą.

— Myślę — powiedziała Inka — że kiedyś, kiedy będziemy już naprawdę zmęczeni...

— Nigdy nie będziesz zmęczona.

— Te rozmowy z tobą na pewno mnie wykończą — powiedziała. Jej uśmiech należał do tego lata tak samo jak czyste niebo, pochylone nad wodą drzewa i rozkołysane słońce. Jak będziemy już starzy...

— Nigdy nie będziemy starzy — powiedziałem. I naprawdę nie potrafiłem już sobie tego wyobrazić, chociaż ona była ode mnie o dziesięć lat młodsza i niedawno jeszcze te dziesięć lat tworzyło zaporę, o którą rozbijały się wszystkie marzenia: odarte z nadziei zawracały z powrotem, tonąc w bezkształtnej cieczy takich samych dni.

Ale teraz to nie znaczyło już nic. Tak myślałem: teraz to już nic nie znaczy.

Zatrzymaliśmy się przy małej polanie w lesie, pasła się krowa, zawsze nad czymś zamyślona, to był znak ludzkiej obecności. Ścieżka zaprowadziła nas przed niewielki dom, przysłonięty dwoma rzędami słoneczników. Przed progiem stara kobieta obierała kartofle i dość łatwo zgodziła się wynająć nam pokój (jedyny chyba pokój w tym domu), nic nie mówiąc o cenie, którą mieliśmy za to zapłacić.

Poszliśmy jeszcze na grzyby, bo był dopiero wczesny wieczór, a w lesie trwał utajony między jałowcami skwar. Potem zmrok zaczął już pogrubiać pnie drzew, więc wróciliśmy, by jeszcze usmażyć te grzyby na kocherze. Kończyliśmy jeść, kiedy weszła tamta kobieta. Zapytała czy nie napijemy się mleka. Ale woleliśmy nie ryzykować, bo wydawało nam się, że po grzybach nic zrobi nam to dobrze.

Ludzie trują się teraz tymi grzybami jak zwariowani — powiedziała Inka. I była z tego stwierdzenia bardzo zadowolona. Wiedziałem, że nie przez żadne okrucieństwo lub cynizm; lubiła po prostu zwariowane rzeczy. Ale przepłynęliśmy tego dnia czterdzieści kilometrów i była już pora na sen.

Tylko że ta kobieta wciąż stała przy drzwiach, uśmiechnięta ale także jakby trochę zdziwiona. Nie wiadomo, czym. Może brakiem naszej ochoty na mleko, może naszym szczęściem, może po prostu samym tym wieczorem, który zatrzasnął już drzwi, zostawiając nas we troje w tym małym, nędznym pokoju, teraz już jedynej wyspie światła pośród zagasłych słoneczników i bzów. Więc musiałem o coś zapytać, powiedzieć, by rozgarnąć ten cień, trochę oślepiający nas, może mnie tylko, po dniu nazbyt jaskrawym od słońca. Ale chyba dlatego nie mówiłem nic.

— Pani jest tutaj sama? — zapytała Inka. Nie boi się pani tak sama mieszkać w lesie?

— Nie — odpowiedziała wychodząc. — Mąż zaraz wróci.

Na pewno będą spać w oborze, pomyślałem, żeby zarobić dwadzieścia złotych będą spać w oborze, nam powierzając ten wytapetowany pokój ze ślubnym zdjęciem, (które teraz dopiero zauważyłem na etażerce) z wysokim kaflowym piecem i rozłożystym łóżkiem pod ścianą.

— Idziemy spać — powiedziałem do Inki. Zapaliłem małą lampkę na etażerce.

Ale znów otworzyły się drzwi. Drzwi od mroku. Wróciła, niosąc wielkie, blaszane wiadro z drzewem. W milczeniu odkręciła niklowane drzwiczki pieca i zaczęła rozpalać ogień.

— Co pani robi? — zapytała Inka.

Nie odpowiedziała nic. Przykucnęła obok pieca i spokojnie czekała, aż dobrze się rozpali. Ogień zaczął wesoło trzaskać. Uśmiechnęła się i z wiadra dosypała trochę węgla.

— Co pani robi? — zapytała jeszcze raz Inka.

I tym razem nie odpowiedziała. Siedziała jeszcze przez chwilę wpatrzona w ogień, wreszcie zakręciła uważnie piec, wzięła puste wiadro, „To nie napijecie się państwo mleka", powiedziała i wyszła nie czekając na odpowiedź.

— Idziemy spać — powiedziałem.

— Ja się jej boję.

Wzruszyłem ramionami i wziąłem się do przygotowania łóżka. Grubą wiejską pierzynę podłożyłem pod spód. Postarałem się o jakiś uśmiech.

— No, nie powinno nam być zimno — powiedziałem. Roześmiała się, dotykając pieca.

Obudził mnie jakiś ból. Te grzyby — pomyślałem. Ale to był tylko sen. Skręcający wnętrzności ból. Byłem na jakiejś polanie, zalanej krwawym odblaskiem zachodzącego słońca. Ale słyszałem oddech Inki. Chyba zdechnę, pomyślałem, chyba zdechnę. Zacząłem pełzać w stronę rzeki, raniąc ręce i zapiątując się w korzenie. Muszę dotrzeć do rzeki, w jej chłód. Wpełznąć w kajak, dopłynąć do ludzi, poprzez wieczność wikliny, po oddech pól. Ale już nie byłem sam. Dom płonął, uciekaliśmy poprzez zagony gryki, jaskrawo oświetlone słońcami rakiet. Agnieszko, wołałem do siostry, Agnieszko, chciałbym jeszcze żyć. Nie się nie bój. Ostatni raz usłyszałem jej głos.

— Miałem takie głupie majaki — powiedziałem rano do Inki. Siedziała na łóżku, do połowy zanurzona jeszcze w swoim czystym i spokojnym śnie.

Poszedłem nad rzekę zobaczyć, jak się miewa kajak. Wszystko od nowa nabrzmiewało słońcem, dom, woda, las. Jakiś człowiek z wędką siedział na kładce.

— Tuście nocowali? — zapytał.

Kiwnąłem głową, znów jedna łata po tym cholernym wodospadzie trochę się odkleiła.

— No i jak się spało?

— Dobrze — powiedziałem. — Dobrze śpi się we dwoje.

Inka jeszcze ziewając wyszła na podwórze.

Roześmiał się.

— No pewnie. Ale pytam, bo ta stara jest trochę tego... — dotknął znacząco czoła.

— Tak? — udałem zainteresowanie. — A gdzie jej mąż?

— Właśnie dlatego. Wzięli go w czterdziestym trzecim i już nie wrócił — zaczął nabijać na haczyk nowego robaka, ten wił się konwulsyjnie.

Wtedy zrozumiałem wszystko. Przypomniałem sobie wszystko. Skrzypienie śniegu za drzwiami. Łagodne pukanie. No, ubierać się szybko. Wkłada płaszcz, ona płacze. Patrzy na nią, boi się tylko jej płaczu. Nic się nie martw, jutro wrócę. Napal tylko dobrze w piecu, najdalej wieczorem wrócę. W ciszy mijają ją zwęglone kikuty lat. Jakiś cień między słonecznikami.

— Przynieś plecak — powiedziałem do Inki. — Napijemy się mleka i płyniemy.

— Nie pójdę tam.

— Dlaczego się jej boisz? Jest tylko nieszczęśliwa.

— Właśnie dlatego.

Zepchnąłem kajak do wody. Było lato. Jest lato, myślałem, jest już lato, trwa upalne lato, ciągle i nieskończone.

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

I to był dzień sentymentalny...

NIE często zdarza się, by spektakl wkomponował się tak harmonijnie w tło przestrzenne, czasowe i nastrojowe, jak to było z koncertem wokalno-choreograficznym szwajcarskiej grupy regionalnej, która wystąpiła niedawno w Puławach, po Lublinie i Białej Podlaskiej. Już sama nazwa zespołu: „Le Feuillu" (gaik, maik, nowe latko) sugeruje myśl, że jego widowisko wymaga wolnego powietrza, przyjaznej pory roku, wreszcie aury wczasowej, tj. momentu najserdeczniejszego obcowania człowieka z przyrodą. Widziałam kiedyś występ świetnej grupy bukowińskiej w jednej z reprezentacyjnych sal warszawskich. Wyrwany z naturalnego otoczenia wyglądał jak zwiędły bukiet.

Szczęściem, pogoda nie zapędziła deszczem w ściany kinowe naszych miłych „feliantów". Artystyczny pokaz wiejskich zabaw wypadł więc uroczo na estradzie letniego teatru, wśród pięknego puławskiego lasu. Tłumnie zgromadzona publiczność z uznaniem przyglądała się zgrabnym ewolucjom tanecznym szwajcarskich gości, nagradzając też jednomyślnymi oklaskami ich kunsztowny śpiew, a nade wszystko fenomenalne jodłowanie.

Blisko trzydzieści pozycji składa się na program „Le Feuillu", prezentujący folklor różnych okolic Szwajcarii romańskiej i niemieckiej. M. in. kantonu Vaud...

Le Vaudois! Zaiste nieobliczalne są niespodzianki życiowe. Jadąc na ów popis Szwajcarów, czyż mogłam przypuszczać, że odbędę zarazem małą wyprawę do tak zwanego kraju lat dziecinnych? Nie chodzi o Genewę, Berno, Lozannę, Zurych, Lucernę, Bazyleję czy Interlaken, zwiedzałam je w czasach studenckich, zwiedza je każdy szanujący się turysta, skoro wybrał się do ziemi Helwetów. Ale Villars, Villars-sur-Olon, gdzie w dziewiątym roku życia spędziłam lato z matką dla cudownego powietrza górskiego, zaleconego jej przez lekarzy — przecie nawet nie ma z kim u nas o tym pomówić, któż zna ten zakątek? Docierało się tam z niespecjalnie niegdyś uczęszczanego Bex-les-Bains powozem konnym. „Tam" — znaczy do trzech pensjonatów na wierzchołku ślicznej zielonej góry o łagodnych zboczach, prawie niezaludnionych. W pensjonacie obracaliśmy się nolens volens między sztywnymi Anglikami, ale na łące bujaliśmy (dosłownie) w obłokach i to dawało jakby przedsmak przyszłej lektury nieistniejącego jeszcze Saint-Exupéry. A gdy wesołe stadko białych chmurek popędziło sobie dalej, widać było o zachodzie słońca kuszące blisko różowe śniegi Dent-du-Midi, ząbka o paru tysiącach metrów wysokości...

I oto dowiaduję się, że aż czterech czołników zespołu „Le Feuillu" pochodzi, proszę sobie wyobrazić, z mojego Villars. Oczywiście nie zaniedbałam okazji, by zweryfikować sprawność mej pamięci, no i ta rozmowa stała się dla mnie nie byle jakim podkładem emocjonalnym pod recepcję muzyki kantona Vaud, a zwłaszcza rzewnej pieśni „O, Terre de mon Enfance", wykonanej na tle chóru przez solistę Etienne Bettensa.

Pomysł uczestnictwa tego śpiewaka w tournée grupy „Le Feuillu" za granicą należy bez wątpienia zapisać na plus inicjatorom. Pan Bettens, występujący z powodzeniem m. in. w rozgłośniach radiowych Lozanny i Genewy, posługuje się swym basem-barytonem o cieplej barwie z dużą kulturą wokalną. Jego interpretacja jest efektowna a pozbawiona efekciarstwa zarówno w pieśniach lirycznych (np. „Lâhaut"), jak żartobliwych „Le Fromage").

Szwajcaria, która wydała muzyków tej miary, co Emil Jaques — Dalcroze czy Honegger, rozporządza też doskonałymi opracowaniami melodii ludowych — tegoż Dalcroze'a, Hummla, R. Fellmanna, Ottona Helda, C. Bollera, J. Boveta, Daetwylera, kierownika muzycznego „Le Feuillu" André Zumbacha i in. Zespół wykonał ich utwory z precyzją świadczącą o solidnej pracy pod fachowym kierownictwem. O niemałych ambicjach mówi choćby i włączony do repertuaru słynny „Le Devin du Village" Jana Jakuba Rousseau.

Na czele grupy stoi Georges Puhl (to nazwisko związało się trwale z powstaniem „Le Feuillu" i jego osiągnięciami), współpracujący z wymienionym już kompozytorem A. Zumbachem i z choreografem Jo Baeriswylem. Ściślejszą ojczyzną zespołu i jego stałą siedzibą jest miejscowość Plan-les-Quates, położona w odległości zaledwie sześciu kilometrów od Genewy, które to dynamiczne miasto niebawem ją wchłonie. W ciągu dziesięciu lat skromna inicjatywa zrodzona w środowisku szkolnym, lecz ożywiana duchem metody rytmicznej wielkiego Dalcroze'a, wydała niepospolity rezultat w postaci zespołu regionalnego służącego z sukcesem szwajcarskim tradycjom folklorystycznym.

Grupa „Le Feuillu" przyjechała do nas na zasadzie wymiany z Zespołem Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej, który, pod przewodem swej dzielnej założycielki i kierowniczki, Wandy Kaniorowej, odbył niedawno 3-tygodniową podróż do Szwajcarii i Francji. Jakie były w tym wypadku, że tak powiem, wartości wymienne? — Z jednej strony: polski temperament, żywość naszych rytmów tanecznych, ich rozmaitość, majorowe tonacje kolorystyczne, z drugiej: barwy raczej pastelowe, spokojna gracja, wdzięk układności sielskiej, poetycka idyliczność wsi chronionej reliefem terenu od najtragiczniejszych wydarzeń dziejowych. W dobie mocnego uderzenia i nadmiaru decybeli cóż za miły relaks!

Występ poprzedziło nad wyraz sympatyczne spotkanie w estetycznej sali klubowej Technikum Ekonomicznego w Puławach. Gospodarz powiatu, przewodniczący mgr Stefan Filip i towarzyszący zespołowi „Le Feuillu" burmistrz Plan-les-Quates, deputowany p. Gustave Morex, wymienili przemówienia bardzo serdeczne i pełne ciekawych obustronnie informacji. Atmosfera była nieprotokolarnie przyjacielska.

książki • książki • książki

Dagerotyp odretuszowany

MAM gdzieś na dnie szafy staroświecką teczuszkę zamykaną na misterny zameczek (kluczyk się zgubił, zameczek się zepsuł). Pełno w niej starych zdjęć, pocztówek, kilka listów, trochę dokumentów. Na zdjęciach matrony w czepkach z falbankami, w ogromnych kapeluszach, z misternymi koafiurami, panowie w surdutach czy też w marynareczkach z wymyślnymi klapeczkami, niektórzy nawet (o zgrozo!) w carskich mundurach, wąsiki podkręcone, bródki wymuskane, na kamizelkach breloczki.

Na pocztówkach widoki miast z „głębokiej Rosieji", nawet znad Bajkału. Domki, domeczki, sceny rodzajowe: muzycy w rubaszkach, czynownicy w mundurach, pyszny izwoszczyk z brodą jak łopata. Ale cóż zdjęcia zamglone, nie bardzo już nawet wiadomo kogo przedstawiają, kiedy były robione. Listy wyblakłe, mało czytelne. Dokumenty przeważnie w obcych językach, nawet w obcym alfabecie. Ot taka rodzinna starzyzna, jaką można znaleźć w niejednej szafie. Trzeba by dużo trudu i zachodu, by z tego odtworzyć strzępy żałosnej sagi.

Leon Gomulicki w ostatniej swej książce to właśnie zrobił: pozbierał stare zdjęcia, pocztówki, listy i dokumenty, trochę rodzinnych podań i trochę domysłów. Wyszła z tego książka pełna swoistego zamglonego uroku, jak stary dagerotyp, dyskretnie odretuszowany.

Książka Gomulickiego nie jest powieścią, zbiorem opowiadań ani pamiętnikiem. To zupełnie coś innego, to jakby powieść o pisaniu powieści, a raczej o obmyślaniu powieści, o redagowaniu jej w myśli, o przypominaniu sobie dawno zapomnianych szczegółów. W twórczości Gomulickiego nie pierwszy to zresztą tego rodzaju wypadek.

Książka uzupełniona jest — jak naukowa monografia — aneksem mającym podbudować prawdą, nawpół fikcyjną czy też nawpół domyślną rzeczywistość pierwszej części.

Aneks to zupełnie coś innego: to rekonstrukcja rodzinych tradycji i konfrontacja ich, reporterska konfrontacja z rzeczywistością: z archiwami, z miejscowościami, domami i fotografiami.

Pierwsza część książki rozpoczęta jest jak gdyby publikacją materiałów gromadzonych przez autora z myślą o przyszłej książce. Są to listy, fragmenty książek, pamiętników, ustępy z encyklopedii, fragmenty wierszy. Dopiero stopniowo autor przechodzi do właściwej fabuły, jeżeli zresztą napoły rekonstruowane, napoły niedopowiedziane zdarzenia można tak nazwać.

Gomulicki odtwarza w „Owocu" życie swego dziadka, powstańca z 1863 r. czy też tylko przypadkowego zesłańca do oddalonych gubernii, do Penzy. (Licho ją wie, gdzie ta Penza, czy to jeszcze Europa — oczywiście wówczas tylko z nazwy — czy już Azja, moja babcia, która pół życia spędziła w Rosji nie pamięta, ja mógłbym łatwo sprawdzić, ale po co?).

Kilkunastolatek z niezagojoną blizną od nahajki, rzucony w obce środowisko, pozbawiony możliwości powrotu. Gomulicki pokazuje dziadka w pewnym oddaleniu, proponując tylko pewne warianty jego losów, domyślne tylko, nie znane na pewno. W szeregu obrazów przedstawia autor sytuację zesłańca, pierwszą pracę, pierwsze kontakty.

Z samych niedopowiedzeń układa historię jego miłości, małżeństwa. Dodaje do tego niespodziewany wyjazd do oddalonego majątku w roli rządcy o ziemianina — dziwaka.

Najbardziej uroczą, najbardziej udziwnioną, a zarazem centralną częścią książki jest próba opisu kilkuletnich rządów dziadka majątkiem, starym pałacykiem, nawet starą biblioteką.

Nieoczekiwana konieczność odejścia zestanowiska rządcy, która jest właściwie końcem prologu jego życia, to u Gomulickiego zakończenie zasadniczej części książki. Reszta to wspomniany aneks, gdzie dziadek pokazany jest z jeszcze większego oddalenia na nieretuszowanej fotografii.

Trudno w paru słowach oddać urokliwość książki Gomulickiego. Rzeczywistość w niej przedstawiona jest wielopłaszczyznowa, wieloraka. Jest w niej coś ze snu i coś z wyznań, coś z nie napisanej jeszcze powieści i coś z reportażu. Niby to znane, niby już to gdzieś czytaliśmy, ale jednocześnie to nowe, niespotykane i piękne.

Bohdan Królikowski

Leon Gomulicki: Owoc z grynszpanem. Wydawnictwo Łódzkie 1965.

W Kamionce W. Macha

(Dokończenie ze str. 6)

Czarnym", „Doświadczenia i przypadki", „Życie duże i małe", „Agnieszka, córka Kolumba", a także kilka czasopism z artykułami o Wilhelmie Machu, napisanych po jego śmierci.

Przed budynkiem szkolnym odbywała się uroczystość wyrażająca żywą pamięć ludzi o zmarłym pisarzu, będąca równocześnie wymownym symbolem powiązania serdecznego Kamionki i społeczeństwa powiatu ropczyckiego z Wilhelmem Machem, jako współtwórcą kulturalnego dorobku narodu.

Przemawiający na uroczystości przewodniczący powiatowego komitetu Frontu Jedności Narodu, I sekretarz KP PZPR w Ropczycach Zdzisław Szkutnik oraz sekretarz krakowskiego oddziału Związku Literatów Polskich Władysław Bodnicki przypomnieli dorobek pisarza, jego skromność i pracowitość stanowiącą wzorzec dla współczesnej młodzieży.

Jeszcze wyraźniej postać Wilhelma Macha odżywa we wspomnieniach jego przyjaciół, kolegów z lat dziecięcych i młodzieńczych, tych którzy z nim przeżyli całą młodość — Bernarda Haracza i Tadeusza Szczurowskiego.

Sekretarz CK Stronnictwa Demokratycznego poseł Michał Grendys, ropczycki rodak, odsłonił na murze szkolnym tablicę pamiątkową:

„Pamięci Wilhelma Macha pisarza ziemi ropczyckiej w pierwszą rocznicę śmierci społeczeństwo pow. ropczyckiego. Kamionka lipiec 1966".

Jan Wojdak

Kwadratura koła

(Dokończenie ze str. 4)

Sytuacja klarowała się wyraźnie. Przynajmniej dla nas, ludzi postronnych. Tylko jak Archipenko daje sobie radę z trzema młodymi kobietami: z Juliettą, Francoise'ą i Elizą? Kiedyśmy rozmawiali o tym na tarasie kawiarni „Soufflot" podszedł do nas sam Archipenko — zadowolony, trochę tajemniczy. I nagle Bazler nie pozwolił mu milczeć oświadczając:

— Madame Poitou, choć na pozór jest całkiem niedoświadczona, dobrze wie, co chce osiągnąć.

— Nie myli się pan — odpowiedział Archipenko. — I chce pan przez to powiedzieć, że się w niej zakochałem. Albo ona we mnie. Nie zamierzam udawać, że jestem bardziej cnotliwy niż to uchodzi w Paryżu. Przyznaję, że ona zdolna jest obudzić prawdziwą namiętność czy nawet miłość. Ale na próżno się spodziewa, że zrobię jej biust z marmuru.

— I powiedziałeś jej to? — spytał Bazler.

— Gdyby ona była tylko mężatką, to z jej starym dziwakiem można by sobie jeszcze dać radę. Ale za nią się włóczy jak nieodstępny cień jakiś artysta — Walończyk Paul Guenert.

— Na szczęście — wtrącił się Staff do rozmowy — pan to zauważył. Ja także znam Guenerta. To awanturnik. Zamiast malować obrazy zamierza występować w sali rojalistów z odczytami o Balzaku.

— Niech wykłada cały kurs literatury chińskiej — odpowiedział Archipenko trochę poruszony. — Ja chętnie stracę dziesięć razy wszystkie pieniądze, żeby dopomóc jakiejś biednej dziewczynie, niż wdam się w romans z żoną milionera, którą jednocześnie adoruje jakiś niewydarzony artysta czy inny diabeł.

Rozmowa zeszła na nowe sztuki, książki, wystawy obrazów. Dopiero teraz zacząłem się uważnie przyglądać twarzy Archipenki.

Oczy jego patrzyły jakby z dołu do góry — długo i przenikliwie. Kiedy się zamyślał, na wysokim czole ukazywały się długie niteczki zmarszczek. Gęste włosy, cieniutkie smużki bokobrodów, niewielkie, starannie przystrzyżone wąsy. Szerokie usta, często ściśnięte. W czasie rozmowy chętnie kreślił rękoma w powietrzu większe czy mniejsze koła, jakby stał przed zaczętą rzeźbą.

Wkrótce tors Julietty był gotów. Poitou był zadowolony, że jego żona zrezygnowała z marmurowego biustu. A jeszcze szczęśliwszy był dlatego, że się nawet nie domyślał jej romansu z Walończykiem. Francoise wyszła za mąż za Emila Delcourta, zegarmistrza i właściciela sklepu przy jednej z najruchliwszych ulic paryskich. Co prawda mąż był niemłody i chory. Mogła jednak teraz nie pracować i trzymać doskonałą kucharkę.A z wdzięczności dla Archipenki przychodziła do niego dwa razy w tygodniu, aby mu pozować.

Pewnego niedzielnego poranka Archipenko, zgodnie z naszą uprzednią rozmową, wstąpił po mnie, aby mnie poznać z Rodinem.

Trzeba było jechać koleją do Meudon. Na wzgórzu położonym nad niziną Fleuri wznosi się kilka budynków. Pracownia słynnego rzeźbiarza mieściła się w okrągłej budowli — „rotundzie". Na długim korytarzu stało sporo wzorów starożytnej rzeźby greckiej i rzymskiej.

— Jeśli mnie wzrok nie myli, widzę Archipenkę — rzekł podając nam uprzejmie rękę. — Dawno pana nie widziałem. A to pewno pański kolega? Siadajcie tu pod drzewem. W niedzielę wypoczywam. Napijecie się wina?

I zanim zdążyliśmy podziękować, młoda kobieta postawiła na marmurowym stole butelkę i szklaneczki.

— Proszę wybaczyć — powiedział Archipenko — że przychodzę tak natrętnie, bez uprzedzenia. Katolicy idą do Rzymu, a rzeźbiarz — do pana.

— Katolikom Rzym jest potrzebny czasem raz w życiu, a rzeźbiarze przychodząc do mnie nie opowiadają mi się ze swych grzechów, bo mają ich za dużo. Zresztą cały rodzaj ludzki wziął początek z grzechu... No, proszę mówić, nad czym pan pracuje?

— Przygotowuję się do wystawy. Na razie jeszcze nie mam się czym pochwalić. Marmur, nawet glina wymagają codziennej pracy. Największy mam kłopot z modelkami.

— W Paryżu niemało jest bogatych pań, które bardzo chętnie...

— Niestety, nie mieszkamy w klasycznej Grecji, gdzie ciało kobiety można było oglądać, nawet kiedy artysta nie miał ani drachmy, ani talentów.

— Co za cudowna gra słów! Przecież „talentem" nazywano wówczas monetę i waga jej wynosiła mniej więcej 30 kilogramów, a wartość na dzisiejsze pieniądze, kiedy była złota, do 300 tysięcy franków.

— Ale talentu w Aténach — zauważyłem nieśmiało — nie oceniano, jak mi się zdaje, ani liczbą srebrnych, ani złotych talentów. Mój przyjaciel Archipenko także gardzi pieniędzmi.

— Kto je ma, może nimi gardzić. — odparł Rodin. — Ale skoro wspomnieliśmy o sztuce greckiej, pozwólcie, że powiem wam swoje zdanie. Tak zwana „szkoła akademicka" szerzyła pogląd, jakoby Grecy lekceważyli ciało człowieka i nie chcieli przedstawiać w swoich dziełach szczegółów otaczającej rzeczywistości. Jakoby stawiali oni wyżej piękno abstrakcyjne, aby poprawić błędy natury. Ale wcale tak nie było. Grecy kochali i szanowali naturę i Arystoteles przeciwstawiał ją wszystkiemu co przypadkowe. Wcielali ją zawsze w twardy materiał tak jak ją widzieli. Ja za artystę uważam tego, kto umie widzieć naturę i odtwarzać ją tak, aby i inni ją widzieli.

Miało się wrażenie, że Archipenko podzielał ten pogląd. Ale odwiedził Rodina po to, aby go poprosić o bryłę granitu, której nie może nigdzie zdobyć.

— Z przyjemnością — odpowiedział Rodin — ale musi pan przyjść do mnie na ulicę Uniwersytecką, przy jej końcu, tam, gdzie ona graniczy z Polem Marsowym i gdzie znajduje się skład marmurowych bloków.

— I to wszystko? — spytałem Archipenki, kiedy wracaliśmy z willi Rodina.

— Nie, to nie wszystko. Nie śmiałem polemizować z genialnym artystą. Gdzie mi się z nim równać. Jednak gdyby był nawet bogiem greckim, nie mógłbym go naśladować. Każdy z nas robi tylko to, do czego jest zdolny, co sam czuje i rozumie.

Upłynął miesiąc, a może i więcej. Nastała wiosna. Wczesna paryska wiosna często przypomina nasze lato. Rzeźby Archipenki w „Salonie Niezależnych" miały wątpliwe powodzenie, wzmiankowała o nich prasa, ale przeważnie ironicznie. Niektóre z nich skarykaturowano. Mimo to artysta czuł się rażnie a nawet pełen był radości życia. Za jeden tors kobiety, który czy to podarował, czy sprzedał Bazlerowi, otrzymał od niego przy końcu miesiąca pięć tysięcy franków.

Stać się popularnym w 23 roku życia i to w takim mieście jak Paryż nie jest rzeczą łatwą. Archipenko sam dobrze uświadamiał to sobie. Jakby czytając moje myśli, kiedyś zaczął pierwszy:

— Wszystko to jest marność nad marnościami, pieniądze, nawet sława. A gdzie są dzieła, dzieła, które dałyby zadowolenie po pracy? Łatwo nie godzić się z Rodinem i wszystkimi geniuszami świata, ale jeśli człowiek nie godzi się z własną pracą no i jeszcze z czymś nie mniej ważnym, życie staje się albo może stać się bezsensowne.

— Nie całkiem pana rozumiem.

— Proszę przyjść do mnie z Bazlerem, powiedzmy, w czwartek albo w piątek. Pójdziemy gdzieś, popijemy, może i zjemy kolację, a wtedy...

W ten sposób usłyszałem opowiadanie o tym, co gnębiło jego niespokojne, zbłąkane serce.

— Jak już wam powiedziałem, przyjaciele, nie kopiują ciała ludzkiego, bo to wysiłek daremny. Podobnie jak różni ludzie mają różne linie papilarne na końcach palców, tak samo nie ma dwóch jednakowych ludzkich organizmów. Z tego wynikałoby logicznie, że trzeba by odtwarzać wszystkie szczegóły ciała każdej modelki, bo są one niepowtarzalne.

Jednak uderzyło mnie co innego. W naturze nie istnieją przedmioty idealnie okrągłe ani i nie takie dokładne jak w geometrii. Geometrię odkryli ludzie, nie zapożyczono jej od natury. Żaden organizm ludzki nie przypomina ani kwadratu, ani koła, bez których nie można sobie wyobrazić geometrii. Oto dlaczego robię próbę połączenia rzeźby z geometrią i naturą. O ile geometria jest dokładniesza niż natura, o tyle na razie oddaję pierwszeństwo geometrii. Nie dość jasno wyobrażam sobie, co oznacza greckie „pi", które pewien niemiecki matematyk nazwał liczbą transcedentalną, ale myślę, że wiem, jak należy rozwiązać w rzeźbie zagadnienie kwadratury koła. Czy je rozwiążę — zobaczymy.

Upłynęło dziesięć lat. Znowu znalazłem się w Paryżu. Przez ten czas Adolf Bazler stał się milionerem. Kiedy odwiedziłem go w jego wspaniałym pałacu, po zwykłym w takich wypadkach powitaniu powiedział: „Nie omyliłem się — Archipenko to rzeźbiarz nie lada. I jeśli nie zostanie milionerem, tym lepiej dla niego. Nazwisko jego świeci w historii światowej sztuki jaśniej i dłużej niż złoto milionerów".

Przełożył **K. A. Jaworski**

Odpowiedzi Redakcji

J. Ch. w Biłgoraju. Niech Pan jeszcze popracuje nad wierszem pt. „Wspomnienie z wakacji". Miły obrazek, ale za dużo rymów gramatycznych („samotny — słotny", „domki — poziomki", śledziem — hyiem").

J. Z. w Chodlu. Chwilami jest to poezja, a chwilami zwykła grafomania. „Tulipanie szczęścia", „ktoś nicią powiązał", „w krainach tęsknoty", „rozkwitająca róża" itd. Na razie jeszcze nie do druku.

C. T. w Poznaniu. Na debiut, niestety, jeszcze za wcześnie. Ale może z tych „okruchów poetyckich" — jak sam Pan nazywa swoje wiersze — coś się wyklaje.

S. K. w Piątkowej. W sprawie otrzymania tej książki prosimy zwrócić się do Domu Książki w Lublinie. Niestety, trudno nam się zajmować sprawami, które do nas zupełnie już nie należą.

L. R. P. w Warszawie. Dziękujmy za miły list, ale z nadesłanych utworów bardzo trudno coś wybrać. Niech Pan zbytnio nie wydziwia („moje myśli drewniane sprintem rykoszetują od pajęczych tam jasnych wyśnionych"). Sprint pozostawmy Maniakowi!

„Jot z bydgoskiego". Znamy Pana nazwisko z innych publikacji, dlatego też sądzimy, że mógłby Pan lepiej zaprezentować się Czytelnikom „Kameny". Zatrzymujemy fraszkę o ornitologii.

T. J. w Lublinie. Najpierw naraził Pan Redakcję na niepotrzebne koszty, (list był cięższy), a potem zmusił do czytania wierszy w rodzaju: „Czy widzisz? Płonie miasto... Tysiącem wypalonych źrenic — łzami; Milionem przebitych serc — krwawi. Uparte! Gra ociemniałe. Upada: rozbite, rozdarte..." itd. itd. Trochę samokrytycyzmu!

F. D. w Jarosławiu. Prosimy jednak o większy wybór, wiemy, że stać Pana na więcej.

S. T. w Pabianicach. W tej sprawie najlepiej zwrócić się do wydawnictwa „Śląsk" w Katowicach.

S. O. w Zamościu. Dziękujemy za zdjęcia. Może coś wykorzystamy. W przyszłości prosimy jednak dbać o większy kontrast. Wolimy też zdjęcia na błyszczącym papierze.

K. R. w Krynicy. Dziękujemy za pocztówkę w wczasów. Cieszymy się, że Ruch nie zawiódł i mógł Pan bez trudu nabyć ostatni numer „Kameny".

S. W. w Łodzi. Zmartwił nas Pan i dlatego cytujemy fragmenty Pana listu dedykując je Ministerstwu Łączności oraz Dyrekcji Ruchu w Warszawie. Pisze Pan: **„Kamena" oświadcza, że najlepszym sposobem otrzymywania pisma jest prenumerata. Dwukrotnie chciałem sprowokować mego listonosza, aby mi „Kamenę" zaprenumerował. Listonosz bronił się rękami i nogami przed załatwieniem tej sprawy, zaklinając, że tego zrobić nie może. Wobec tego udałem się do samego głównego Ruchu na ul. Roosevelta w Łodzi. Bardzo miła i uprzejma panienka oświadczyła, że może to załatwić wg przepisów dopiero od pierwszego kwartału 1967 r. Tu zdumiałem się bardzo, jako że wszędzie zagranicą dostawałem pismo nazajutrz po zgłoszeniu prenumeraty. Uprzejma panienka udała się do jakichś panów kierowników i po chwili poinformowała mnie, że będą mogli dostawać „Kamenę" już od następnego numeru w kiosku, w którym biorę czasopisma, a przed 10 grudnia zaprenumeruję już regularnie... Mijały dni, tygodnie, wcale nie otrzymywałem mitycznej „Kameny". Udałem się więc znowu do głównego Ruchu. Miła panienka mocno zdziwiła się, poszła sprawdzić i potem przyznała, że nie może się wcale zorientować, jak z tym jest. Któryś z panów kierowników wytłumaczył, że mogła nastąpić pomyłka: „Kamera" — „Kamena" jedna literka różnicy, drobiazg, powinienem sprawdzić w kiosku, co oni dostali. Numeru trzynastego już nie mogłem dostać, gdyż poszedł na przemiał. Za granicą latami trzymają stare numery. W Polsce nie ma głupich. Na przemiał i z głowy".**

Drogi Ruchu! Wydaje nam się, że „Kamenę" można zaprenumerować do dnia dziesiątego miesiąca poprzedzającego kolejny miesiąc lub kwartał. Nie utrudniaj życia nam i Czytelnikom! Przypomnij, komu trzeba!

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

◆ Na początku sierpnia Łomża obchodziła jubileusz 1000-lecia istnienia. W związku z tym odbyło się w mieście szereg imprez kulturalnych i sportowych.

◆ W Hajnówce i Białowieży zorganizowano, wzorem ubiegłego roku, ogółnopolski plener, w którym uczestniczą artyści malarze i rzeźbiarze z całego kraju.

◆ Ukazał się w sprzedaży VI tom Rocznika Białostockiego. Został on przygotowany przez Muzeum w Białymstoku, Białostockie Towarzystwo Naukowe i Oddział Białostockiego Towarzystwa Historycznego. Poświęcony jest doc. A. Chętnikowi, badaczowi Ziemi Łomżyńskiej i kultury ludowej Kurpiowszczyzny, w 75-lecie jego urodzin.

KIELCE

◆ Prezydium MRN w Kielcach podjęło uchwałę o przyznawaniu dorocznych nagród i wyróżnień dla osób, których twórczość jest związana bezpośrednio z Kielcami.

◆ Jak i w roku ubiegłym, Opoczno organizuje Dni Folkloru Opoczyńskiego. Na program złożą się m in.: konkurs kapel ludowych i śpiewaków ludowych, konkurs gawędziarski, przegląd zespołów regionalnych i dożynki powiatowe. W Dniach uczestniczyć będą sławiści z 14 krajów.

◆ Na Kielecczyźnie sezon turystyczny w pełni. W samych tylko stacjach turystycznych nocuje codziennie ponad 1 000 turystów. Najwięcej wycieczek przybywa z Białegostoku, Łodzi, Poznania i Warszawy.

◆ W kieleckim muzeum — ostatnie przygotowania do otwarcia galerii malarstwa polskiego, obejmującej okres od XVIII do XIX w.

LUBLIN

◆ Lublin uzyska wkrótce możność stałego występowania ze swymi problemami w telewizji. Od października, raz w tygodniu, będzie nadawany z Warszawy 15-minutowy Telewizyjny Kurier Lubelski. Podobny Kurier — dla Białostocczyzny.

◆ Lubelski Teatr im. Osterwy wznowił sezon „Tangiem" Sławomira Mrożka.

◆ Do Debreczyna (Węgry) wyjechał znany lubelski chór „Echo". Reprezentuje on Polskę na międzynarodowym Festiwalu chórów im. Beli Bartoka. W festiwalu biorą udział 24 zespoły, w tym 12 węgierskich. W ogóle lubelscy artyści-amatorzy coraz częściej wyjeżdżają za granicę. W lipcu we Francji i Szwajcarii występował Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej, w Turcji występuje studencki Zespół Pieśni i Tańca WSR, zaś w najbliższym czasie, w Festiwalu folklorystycznym w Dijon we Francji, weźmie udział, również studencki, zespół taneczny UMCS.

◆ Minął już przeszło rok od chwili przekazania do użytku odrestaurowanej, zabytkowej Bramy Krakowskiej, ale miastu wciąż jeszcze brakuje około 400 tys. złotych na zapłacenie za remont.

RZESZÓW

◆ 2 sierpnia 1944 roku Armia Radziecka wyzwoliła Rzeszów. W 22-rocznicę tego wydarzenia odbył się w Rzeszowie wielki wiec mieszkańców.

◆ „Człowiek w malarstwie" — pod takim tytułem Wydział Kultury dla pow. rzeszowskiego i m. Rzeszowa wspólnie z Zarządem Okręgu ZPAP ogłosiły konkurs dla rzeszowskich plastyków.

◆ W roku akademickim 1966/67, na pierwszym roku studiów w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie podejmie naukę 250 studentów.

Chrap, chrap...

Szkolna kalkulacja

UŚWIADOMIŁEM sobie nagle pod koniec wakacji, że gdybym swego czasu nie zrobił rodzinie na złość i obrał prostą drogę życiową, miałbym już może syna, który w tym roku poszedłby po raz pierwszy do szkoły. Gdybym zaś wcześniej jeszcze ożenił się, na przykład tuż przed maturą (co się wszak zdarza), czyli poszedł taką samą drogą, na jaką by mnie później popychała zapobiegliwa rodzina (ale w danym wypadku byłbym jednak też postąpił wbrew woli rodziny, tylko że nie na złość, ale przez tzw. młodzieńczą głupotę) — mógłbym już nawet mieć syna, który by teraz zdawał do szóstej klasy. W sumie, startując czy to jako dobre, posłuszne dziecko, czy jaki smarkacz, który wiadomo czym sobie nabił głowę zamiast myśleć o studiach — wiódłbym obecnie spokojny i odpowiedzialny żywot np. członka Komitetu Rodzicielskiego a nie zgrywał się na młodego, co nie chodzi do fryzjera.

Mógłbym dzisiaj, mając syna i dużo silnej woli, być na przykład przyjęty do Związku Literatów. Do Związku dostałbym się na podstawie jednej (dobrej) albo dwóch (miernych) książek dla dzieci, jakie by powstały w wyniku ojcowskich uczuć. Początkowo pisałbym dla rozrywki, ot tak, wieczorami, przy kominku, (albo zaszywszy się w ciepłym kącie otomany), po prostu trochę dla siebie, trochę dla żony miłej, ale przede wszystkim dla kochanych szkrabów. Wieczorem, po kolacji, odczytywałbym głośno to, co ostatnio napisałem. Z czasem luźne kartki przekształciłyby się we wcale pokaźne bruliony. Wreszcie któregoś dnia, żona, w tajemnicy, zaniosłaby je do dziecięcego wydawnictwa. Ku swej wielkiej uciesze, obudziłbym się po kilku miesiącach jako autor poczytnych (acz miernych) książeczek dla dzieci. Myślę, że nie przetrwonilibyśmy z żoną pierwszego honorarium na wyjazdy zagraniczne ani na alkohol, ale wzięlibyśmy się z całą odpowiedzialnością do rozwijania mojego talentu. Po roku mielibyśmy znowu synka albo córeczkę, dla której pisałbym wieczorami opowiastki, krótkie bajeczki i wesołe wierszyki. Za następnych kilka lat żona dałaby mi kolejnego potomka, dla którego trzeba by było pisać i wydawać. Jednocześnie pierworodny syn przygotowywałby się już do matury i dla niego pisałbym umoralniające powieści młodzieżowe o wesołych beatlesach (i ich koleżankach), którzy nie piją „kwasu chlebowego" po 17 złotych butelka, tylko chodzą na prywatki, gdzie się co prawda całują po ciemku (na tyle bym już szedł przecież z duchem czasu!) ale równocześnie marzy im się zrobienie doktoratu z cybernetyki i nauka języków obcych. Pod koniec życia stałbym się czymś w rodzaju Marii Konopnickiej drugiej połowy dwudziestego wieku.

Przy większej odrobinie talentu życie moje mogłoby się potoczyć trochę inaczej. Zostałbym również członkiem Związku Literatów, ale na podstawie napisanej przeze mnie bardzo dobrej powieści. Stałoby się to w sposób następujący: w niedługi czas po ślubie doszedłbym do wniosku, że moje małżeństwo było wielkim nieporozumieniem (nie ważne, czy zawarte na skutek namowy rodziców, po ukończeniu studiów, czy też na skutek młodzieńczej głupoty — przed maturą). Moja żona (piękna zresztą kobieta) miałaby w sobie coś niewchwytnego, ale równocześnie coś niemal materialnie konkretyzującego się chwilami, co by mnie mierziło. Przez dłuższy czas starałbym się zrozumieć, co to takiego (bezskutecznie), wreszcie zacząłbym ją nienawidzieć. W dodatku urodziłoby się dziecko. Mógłbym to dziecko pokochać. Uzyskałbym w związku z tym chwilową równowagę. Ale z czasem także od dziecka zaczęłoby ku mnie emanować coś nieuchwytnego, odrażającego, jak w przypadku jego matki, której już od dawna bym nie kochał. Byłoby to dla mnie strasznym ciosem. Rozdarty pomiędzy ojcowską miłością a niczym nie uzasadnioną odrazą, miotałbym się, pił, uciekał z domu, szukał ukojenia w ramionach młodych dziewczyn. Zostałbym morfinistą i paranoikiem. A w wolnych chwilach — pospieszne spisywanie na luźnych kartkach (które bym wszędzie gubił) swoich doznań. Piszę zresztą coraz częściej. Równocześnie piję. Z czasem nałóg pijaństwa ogarnia mnie coraz bardziej. Dla wódki rezygnuję nawet z morfiny i paranoi. (Ale cały czas piszę jak oszalały!) Potem już tylko wódka, kartka papieru i drżąca ręka, która z wysiłkiem kreśli ostatnie rozdziały książki. Wreszcie powieść gotowa, ale za to ja jestem strzępem człowieka. W jakimś przytułku dla alkoholików znajduje mnie żona. Opiekuje się jak dzieckiem. Dzięki jej poświęceniu wracam powoli do normy. I co się okazuje? Alkohol wypalił we mnie nieuchwytną do niej odrazę. Kocham również bez skrupułów swoje dziecko, które właśnie idzie po raz pierwszy do szkoły! (Na pijaństwie i pisaniu książki zbiegło mi kilka lat). Któregoś dnia budzę się jako autor rewelacyjnej powieści. (Dzięki żonie, która zaniosła do wydawnictwa moją książkę odnalezioną w przytułku). Jestem szczęśliwy. Zyskuję sławę. Dziecko uczęszcza do pierwszej klasy i uczy się dobrze! Zostaję przewodniczącym Komitetu Rodzicielskiego! Jestem wydajnym obywatelem. Całymi dniami pracuję nad sobą. Wydaję jeszcze jedną książkę, ale już dużo gorszą od poprzedniej. Potem milknę na zawsze. Nie wychodzi mi. Czuję w sobie siłę i chęć do pisania, ale jednocześnie cierpię na notoryczny brak natchnienia. Niestety, nie udaje mi się umrzeć na cholerę i biografowie nie mogą mnie nazwać Mickiewiczem dwudziestego stulecia.

Ewentualnie, zrezygnowawszy z ambicji literackich można jeszcze zawsze zostać dziennikarzem. Fakt posiadania dziecka, mógłby mi wówczas wydajnie pomagać w wywiązywaniu się z obowiązkowej wierszówki. Mógłym pisywać wesołe audycje o zuchach zbierających ślimaczki na potrawy dla swoich przyjaciół-harcerzyków, którzy przyjechali do nich na letni obóz z dalekiej Francji. Mógłbym też pod pseudonimem jakiejś „cioci Marysi" zamieszczać w kobiecych pismach śmieszne „familijne" felietoniki zaczynające się od słów: ...„ Mój siedmioletni Grześ poszedł dzisiaj po raz pierwszy w życiu do szkoły, a po powrocie oznajmił:"...

Ile wysiłku, jakiego poświęcenia i samozaparcia wymaga nieraz praca dziennikarza „pracującego z dzieckiem" niech będzie dowodem opowiadanie mojego kolegi, dziennikarza radiowego, o innym koledze — radiowcu, pracującym w dziale audycji oświatowych dla niemowląt. Ów kolega, specjalizujący się w reportażach psychologiczno-dydaktycznych, postanowił stworzyć reportaż dźwiękowy o chrapaniu niemowląt. Celem reportażu było pokazanie niemowlętom (i ich rodzicom) całej złożoności procesu chrapania, a jednocześnie skłonienie do zrezygnowania z tego nieestetycznego zwyczaju już w latach dziecięcych, albowiem w późniejszych latach prowadzi on nierzadko (jak wskazują statystyki) do nieobliczalnych następstw (trwały rozkład pożycia małżeńskiego a co za tym idzie — rozpad rodziny itp.). Ażeby uzyskać materiał dźwiękowy, kolega — radiowiec całe noce trawił z magnetofonem przy łóżeczku swojego jedynaka — niemowlęcia. Traf chciał, że dziecko sypiało bez wydawania owych charakterystycznych odgłosów. Zrozpaczony kolega co pewien czas włączał magnetofon, i równocześnie starał się hipnotyzować niemowlę, prosząc przy tym: — „chrap"!, „chrap"...! Niestety, dziecko milczało. W rezultacie kolega — radiowiec audycji nie przygotował, otrzymał naganę od kierownika działu, a żona podała go do sądu o znęcanie się nad własnym potomkiem. Doszło do sprawy rozwodowej i co za tym idzie — rozpadu rodziny. Dziennikarz ten jest dzisiaj strzępem człowieka. Stracił drogie osoby: żonę i dziecko a ukochana dawniej praca nie daje mu już żadnej satysfakcji. Historia ta zdarzyła się kilka lat temu. Za kilka dni, dziecko kolegi — radiowca po raz pierwszy przestąpi progi nowej, ośmio — już — klasowej szkoły, jednej z pięknych Szkół Tysiąclecia! Może ten fakt przyczyni się do wydźwignięcia się kolegi — radiowca z brzydkiego nałogu, który ostatnimi czasy opanował go niemal całkowicie: nałogu pisania o sprawach ludzi dorosłych...

Kończąc tym optymistycznym przecież (wiara w człowieka!) akcentem, jeszcze raz powróciłem do rozważań czy słusznie postąpiłem wówczas, gdy zamiast prostej, życiowej drogi, która by mnie dzisiaj zaprowadziła znowu pod mury szkoły, wybrałem ryzyko... I przyznaję, nie doszedłem do żadnego konkretnego wniosku.

Nie jestem również pewien czy potrafiłem się należycie wywiązać z polecenia napisania „jakiegoś okolicznościowego felietonu z okazji nowego roku szkolnego....".

Dereń

KSIĄŻKI NADESŁANE

„CZYTELNIK"

Wojciech Bieńko — Morze nadziei — opowiadania. Warszawa 1966. Wydanie I.

Ilia Erenburg — Ludzie, lata, życie, wspomnienia. Warszawa 1966. Wydanie I.

Konstanty Ildefons Gałczyński — — Poezje — wybór Natalii Gałczyńskiej. Warszawa 1966. Wydanie IV.

Małgorzata Hołyńska — Dolina Jozafata — powieść. Warszawa 1966. Wydanie I.

Kamen Kałczew — Dwoje w nowym mieście — powieść. Z bułgarskiego przełożyła Hanna Orzechowska. Warszawa 1966. Wydanie I.

Tatiana Kuźmińska — Mój dom i Jasna Polana — wspomnienia. Z rosyjskiego tłumaczyli Zofia i Stanisław Głowiakowie. Warszawa 1966. Wydanie I.

Guy de Maupassant — Wybór nowel. Z francuskiego przełożyli: Róża Czekańska-Heymonowa, Jadwiga Dmochowska, Krystyna Dolatowska, Maria Feldmanowa, Adolf Sowiński. Warszawa 1966. Wydanie II.

Janina Macierzewska — Każdy idzie swoją drogą. Warszawa 1966. Wydanie I.

Tomasz Mann — Opowiadania. Z niemieckiego przełożył Leopold Staff. Warszawa 1966. Wydanie II.

Leon Pasternak — Komuna miasta Łomży. Dzień zapłaty. Warszawa 1966. Wydanie V.

Stefan Żeromski — Rozdziobią nas kruki, wrony... — opowiadania. Warszawa 1966.

Stefan Żeromski — Sułkowski, Turoń; tragedia, dramat. Warszawa 1966.

„ISKRY"

Tadeusz Hołuj — Zawstydzenie — powieść. Warszawa 1966.

Młodzi stąd — zbiór reportaży. Wybór Anny Pawłowskiej i Jerzego Feliksiaka. Warszawa 1966.

Aleksander Poleszczuk — Znak z kosmosu — powieść fantastyczno-naukowa. Z rosyjskiego przełożył Zygmunt Burakowski. Warszawa 1966.

LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

Ernest Bryll — Sztuka stosowana — poezja. Warszawa 1966 Wydanie I.

Bogdan Chorążuk — Pamięć — — poezje. Warszawa 1966. Wydanie I.

Julian Kawalec — Marsz weselny — opowiadania. Warszawa 1966. Wydanie I.

Władysław Kowalski — Wino — wybór dzieł. Warszawa 1966. Wydanie I.

Edward Kozikowski — Portret Zegadłowicza bez ramy — opowieść biograficzna na tle wspomnień osobistych. Warszawa 1966. Wydanie I.

Z dzienników i wspomnień Józefa Czechowicza

(Dokończenie ze str. 9)

Wieczorem byłem u pani Hanki. Napisałem u niej dwa wiersze. Dla niej.

13 maja. Sobota.

Bardzo mi smutno od rana. Jest chmurno. Dzieci senne. Lekcje wleką się tak, że końca doczekać się trudno. Wydawało mi się, że Zenek nie uśmiechnął się dziś, ani razu. Samo to już może przygnębić. I nie zamienił ze mną ani słowa.

Zabijam nudę poprawianiem zeszytów. Potem długo, długo siedzę nad „Priestuplenjem i nakazaniem".

14 maja.

Wichura wprost jesienna. Nie chce mi się wstać z łóżka. Leżę i czytam. Lektura niesamowitej książki Dostojewskiego dobiega końca. Po południu chłopcy zeszli się w wielkiej izbie szkolnej na zbiórkę harcerską. Nagle spadła na świat burza. Runęły masy wód, tworząc za oknami mokrą ścianę. Zapomniałem o chłopcach. Stałem przy oknie zapatrzony we wspaniałe rysunki błyskawic.

Potem śpiewaliśmy. Zaczęliśmy od polskich piosenek, a skończyliśmy na „miejscowych". Nastała śliczna noc. Pełna cwałujących po niebie chmur.

15 maja.

Łażę z kąta w kąt. Pisać? Nie pisać? Wziąłem się do świętojańskiego poematu — jakoś nie wychodzi. Na świecie brzydko. Wiatr dmie. W dodatku rozdarłem ostatnie spodnie, upadając na ganku. Wreszcie zatonąłem w listach do siotry i do Janka Wydry. Po obiedzie byłem u porucznika Gutta. Przeglądałem kilka książek o malarstwie. Reprodukcje poprawiły mój humor. To bądź co bądź ochłap sztuki.

16 maja.

Smutno. Cóż więcej zanotować?

17 maja.

Dostałem list od Janka Wydry. Pogoda się wyjaśnia. Byłem nad jeziorami. Po tych wichrach świat wydaje mi się odmienny, płaski. Nie umiem tego inaczej określić. To pewno subiektywne wrażenie powstałe w skołatanej głowie.

Jest chmurno, ale bezwietrznie. Prześwituje słońce. Gdy mieszkałem w Lublinie, nie tak wiele zależało od pogody i mniej na nią reagowałem.

Nad jeziorami małe domki w kwiatach. Łaźnie białoruskie. Słońce zachodzi czerwono. Kiedyś oglądałem zupełnie taki sam zachód słońca z Jaszkiem. Włóczyliśmy się wówczas po łąkach Czechówki lubelskiej z tomem „Hymnów" Kasprowicza. Inny był wtedy świat.

Wieczorem lektura „Fajdrosa". Wzruszające są te słowa o kochającym i kochanku, wypowiedziane z górą dwa tysiące lat temu.

Śniło mi się, że tonę przy biciu dzwonów.

(koniec rękopisu)

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje Kolegium: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski.

Przedstawiciele redakcji: BIAŁYSTOK — Stanisław Świerad („Gazeta Białostocka"), ul. Wesołowskiego 1, tel. 37-41. KIELCE — Tadeusz Bartosz („Słowo Ludu"), Plac Obrońców Stalingradu 2, tel. 82-26. RZESZÓW — Jan Grygiel („Nowiny Rzeszowskie"), ul. Żeromskiego 5, tel. 20-51.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji: Lublin, ul. Graniczna 7 tel. 234-49

Zam. 2821 12.VIII.66 L-3

Z ŻYCIA WZIĘTE

Mocne uderzenie

To było naprawdę mocne uderzenie. Festiwal Muzyki Nastolatków w Gdańsku-Wrzeszczu zamienił się, jak wiadomo, w nielichą rozróbkę, która pokazała wreszcie, iż Polacy nie gęsi i potrafią tak jak ich koledzy na Zachodzie stworzyć odpowiednią oprawę big-beatu. Zdemolowany stadion „Lechii", porozbijane wystawy sklepowe, zniszczone wagony kolejowe, pobici ludzie — oto finał finału muzyki nastolatków.

Młodzież nie mogła sobie życzyć nic gorszego. „Przegląd Sportowy" dokładnie wyliczył, że remont stadionu „Lechii" pochłonie 120 tys. zł. Tak na marginesie trzeba stwierdzić, że działacze „Lechii" błogosławią po cichu tę młodzieżową muzykę. Od dawna stadion domagał się remontu, zawsze jednak coś stało na przeszkodzie. Obecnie nikt nie protestuje, „Lechia" spotyka się z powszechnym współczuciem, remont rozpocznie się jada dzień. Gdyby tak jeszcze ktoś pomógł „Lechii" wejść do I ligi...

Za „Przeglądem" poszły inne pisma. Jeśli ktoś lubi liczyć może sobie dokładnie wyliczyć, ile złotych polskich kosztowaŁ gospodarkę narodową entuzjazm naszej młodzieży. Oburzenie jest powszechne. Zła młodzież, prymitywna muzyka, upadek obyczajów. Wypadki w Gdańsku—Wrzeszczu są nieodpartym argumentem.

Każdy medal ma jednak dwie strony. Nie jestem zwolennikiem big-beatu, ani szerokich spodni. Wydaje mi się jednak, że nikt z tych, którzy biadolą nad dzisiejszą młodzieżą, nie przyjrzy się dokładniej fakotm, temu co się kryje pod powierzchnią zjawiska.

Nie byłem na stadionie „Lechii" w czasie sławnego finału muzyki nastolatków, ale znam na tyle przebieg wydarzeń, aby nie mylić się z ich oceną. Twierdzę więc, że to nie młodzież była głównym sprawcą ekscesów, nie ona była podmiotem tego, co się stało na stadionie „Lechii" Festiwal zorganizowali dorośli ludzie dla swych „dorosłych", bardzo przyziemnych celów. Gdyby ktoś chciał zbadać genezę narodzin tej imprezy doszedłby rychło do przekonania, że nikt z organizatorów nie miał na myśli dobra młodzieży i jej muzyki. Młodzież była tu tylko pretekstem. Pretekstem do swoistego interesu, pretekstem do dobrego reportażu filmowego. Byłem niedawno na występie francuskiego zespołu mocnego uderzenia. Publiczność nieopisała. Całe rzędy ławek były puste. W pewnej chwili w sektorach wydzielonych dla osób posiadających zaproszenia zjawiła się gromada brudnych wyrostków z dość wyrosłym herszem. I zaczęło się. Banda nie zważała na to, co się dzieje na scenie. Wyła, gwizdała, biła sąsiadów, podrzucała odzienwek. Nie ulegało wątpliwości, że to organizatorzy „przekonani iż na takim występie musi się „coś" dziać zebrali pospiesznie przed bramą stadionu odsiecz i wpuścili ją między publiczność z zadaniem robienia draki. I draka była. Koncert się udał.

Dorośli zrobili sobie z młodzieży dobry interes. Duńska moda była kiedyś synonimem nie przynoszącego pożytku wydawania pieniędzy i robienia kokosowych interesów. Dziś chyba lepszy zysk przynosi moda dla nastolatków. Moda tworzona przez dorosłych i przez dorosłych propagowana. Od paru lat większość prywatnych sklepów prosperuje wyłącznie dzięki butom z zadartymi nosami, spodniom, które nazywa się rury, dzwony i bóg wie jak jeszcze, dzięki takiemu obrzydliwstwu, jak gwiazdy szeryfa, breloki z piątka angielskich bitelsów, „złote" łańcuszki na ręce itd. I nieźle prosperują. Nieruchliwy przemysł państwowy produkuje buty nienadające się do noszenia i tradycyjne granatowe ubrania, w których paradują szkolne wycieczki po miastach wielkich miast, ale szanujący się nastolatek za żadne skarby ich na siebie nie włoży.

Gdzieś wyczytałem, że znaleźli się producenci, którzy odkryli nowa, bardzo zaniedbaną dziedzinę: modę dla kilkulatków Tylko patrzeć, jak nasze przedszkolaki zostaną przemundurowane. Co wspomniani producenci wymyślą, nie wiem. Może będą to togi, buty z cholewami i peruki na głowy (peruki dla dzieci już się u nas sprzedaje), może coś innego. Starsi panowie i starsze panie na pewno coś stosownego wymyślą. A za dwa lub trzy lata będziemy z obrzydzeniem obserwować naszych milusińskich ubranych w jakieś szkaradzieństwa i uprawiających jakąś nową muzykę od której będą się nam kiszki skręcać i zgodnym chórem wznosić lament na zepsucie najmłodszych.

— Niech pani popatrzy, do żłobka go jeszcze noszą a już się ubiera jak koczkodan. Co za młodzież!

BAR

MINUTA MYŚLENIA

Zasada wyjątkowości

Zdumiewa w naszym kraju ilość spotykanych niedorzeczności. I obojętność opinii społecznej zazwyczaj reagującej bardzo żywo. Nie wiadomo nawet co — niedorzeczność, czy obojętność — bardziej podziwiać. Na przykład.

Przychodzi do sklepu kosmetycznego dziennikarka z radia i przeprowadza wywiad na temat zaopatrzenia. Takie sobie pitigrili o tym, jakie to cudeńka będą musiały naszą skórę, włosy i paznokcie w bieżącym sezonie. I wychodzi, że tych lakierów, szminek itd. jest cała tęcza, ale że nie mamy po prostu czym myć zębów, na to ani sklep, ani organ opinii publicznej nie zwraca uwagi. Bo pasta w tubkach, jaką znamy pod firmą „Lechia", może się do odświeżania tenisówek — nie próbowałem — nadaje, natomiast w sprawie czystości uzębienia zachowuje się całkiem neutralnie. Cała jej właściwość to jakiś składnik ostro szczypiący jamę ustną po to, by zamaskować totalną nieprzydatność preparatu do celu, do jakiego ma służyć. Kupowaliśmy kiedyś mydełka do zębów marki „Uroda". Skuteczniejsze, prostsze w użyciu, tańsze. Oczywiście — posiadając takie cechy znikły, by nie naruszać tezy o Polsce, kraju paradoksów. Również nie uświadczysz „Floridontu", ponieważ tenże miał nie tylko dużą zdolność oczyszczającą, ale również pewną właściwość wzmacniania kości zębowej. Tak więc w nieistotnych olejkach można sobie grymasić dowoli, tutaj jesteś skazany na mistyfikację. Mentalność zaopatrzeniowców! Gdyby nawet „Lechia" była środkiem całkiem nienagannym, brak innych na ten użytek byłby czymś godnym reklamacji. Tym bardziej wtedy, kiedy pragnąc umyć zęby mamy do dyspozycji jeden jedyny środek: ten do niczego.

Albo długopis. Jeśli nie chiński, bezcelowy jest twój nabytek. „Wysiądzie" po dwóch tygodniach czyniąc miejsce na następny. I powtarza się historyjka. W sumie — masz co kupować, nie masz czym pisać. To chyba też trudność nie do przezwyciężenia w epoce tworzyw sztucznych, laminatów, włókien syntetycznych — by nie wspominać już o tych tam kobaltach i izotopach promieniotwórczych.

Co pewien czas paraliż w komunikacji. Jakieś szczęki przy kierownicy, skrzeczące dzwonki — trolejbus stoi. Poza tym wszystko się zgadza. Bilety wykupione, jakieś terminy na pasażerów czekają, tylko na trasie błogi spokój. Całkiem „zwyczajnie". Nie ma prądu. Nie ma. Bo prąd elektryczny w cywilizowanym kraju to — jak wiadomo — nie trwały składnik gospodarki, ale efekt sprzyjających okoliczności. Jest — no to pięknie, nie ma — poczekać, aż będzie. Nie wystarczy samo sakramentalne już i oklepane spadanie pałąków. Nasze „trudności" muszą mieć i ten wyróżnik. Identycznie z gazem, z wodą, z telefonami, które potrafią podawać sygnał „zajęty" już po nakręceniu pierwszej dwójki, czy trójki.

Częstotliwość tych zjawisk jest taka, że poszczególnym jednostkom psuje krew, ale opinia publiczna daje się ułudzić wykrętnie tu stosowanym powiedzonkiem o trudnościach wzrostu. Nikt nie zdemaskuje, że te trudności to po prostu zwykłe partactwo, niedbalstwo, „tumiwisizm" może nie dające się przyłapać na przykładzie jednego sprawcy, ale bynajmniej nie anonimowe, a tymbardziej nie występujące jako nieunikniony składnik naszego życia zbiorowego. Ponieważ w określonym wypadku nie widać, kto spartaczył, przyjmuje się partactwo za przypadłość niepodważalną. Nadmiar wyjątków wytworzył zasadę. Paradoksalną, niedorzeczną, stojącą na głowie zasadę wyjątkowości.

Czy naprawdę „damy się zwariować"? Czy naprawdę bzdura będzie nietykalnym tabu naszej cywilizacji? Bo niech sobie wysokie i fachowe wyjaśnienia operują tomami przyczynków i analiz — bzdurą jest, że po dwudziestu latach państwowości nie mamy czym umyć zębów, czym pisać, a często — w czym się wykąpać.

Ijon

BIG-BEAT

Robienie w konia

Panie Redaktorze! Upalna niedziela, nie pomaga zasłona, słońce natrętnie wdziera się do pokoju. Poszłoby się nad jakąś wodę, ale w Lublinie wodę dają na receptę i to po znajomości. Nawet i w prasie jest jej coraz mniej. Na szczęście pozostają moje felietony. Zachęcam więc do kąpieli.

Przeczytałem właśnie przedrukowane przez „Politykę" arcydzieło Arta Buchwalda pt. „Zwalczajcie zgnilizną". I poważnie zaniepokoił mnie ów dentysta z Florydy dr D. D. Zimmer, który odkrył po pięciu latach badań, że dziury w zębach mogą być spowodawane całowaniem. Nie wiem, czy dr Zimmer doszedł do tego wniosku na podstawie własnych doświadczeń, czy też doświadczeń swoich pacjentów. Ze swej strony wiem, że bardzo szybko psuły mi się zęby mleczne a przecież w owych bardzo szczenięcych latach całowałem tylko mamę, tatę, a raz — na szczególne żądanie bogobojnej babki — buchnąłem księdza w pucułowatę łapę. Pogłaskał mnie wówczas po czuprynie i zainkasował dwadzieścia złotych za wiązkę opłatków. Czyżbym więc jego miał obwiniać za kiepski stan mego uzębienia?

Teraz całuję się rzadko, a po rewelacjach dr Zimmera będę musiał przeprowadzić dalsze redukcje. A może od razu wstawić sobie sztuczną szczękę? Odpadną kłopoty, ale zapewne i odpadną bańki. Z natury zresztą jestem podejrzliwy i nie ufam naszym dentystom. Nie chciałbym na własnym ja ukuć powiedzenia: zjadł sztuczną szczękę na miłości.

A propos miłości. „Iskry" wydały zbiór materiałów z konkursu „Życia Warszawy" pn. „Młodzi po ślubie", konkursu ogłoszonego w 1961 roku. Ta lektura wcale nie nastroiła mnie optymistycznie. Książkę powinni przeczytać wszyscy moi rówieśnicy, którym niekiedy tak śpiesznie dobrowolnie zakuć się w kajdany. Jeśli małżeństwo ma być gwarancją zachowania zawsze zdrowych zębów, z dwojga złego głosuję już za sztuczną szczęką.

Panie Redaktorze, chyba ten upał uderza mi do głowy. Bardziej niż alkohol. A właśnie w tym samym numerze „Polityki" przeczytałem, że jeden z wielkich stołecznych zakładów przemysłowych otrzymał z dyrekcji podobnej fabryki radzieckiej pismo w sprawie programu pobytu wycieczki rosyjskich specjalistów w warszawskim przedsiębiorstwie. Zawiera ono prośbę o ograniczenie alkoholu, jakim częstować się będzie gości i o serwowanie go co najwyżej przy kolacjach, ponieważ zwyczaj podawania wódki już przy śniadaniu unicestwił fachowe efekty kilku analogicznych, grupowych podróży służbowych.

Ciekawiłoby mnie bardzo, jaki to konkretny zakład w ten niezbyt skomplikowany sposób pogłębia przyjaźń dwóch bratnich narodów? A jeszcze bardziej: za czyje pieniądze? Własnych pracowników czy też za fundusze z państwowej kiesy, inaczej mówiąc — moje, twoje, nasze? Słyszałem wprawdzie kiedyś powiedzenie, że picie wódki bez toastów jest pijaństwem, a z toastami — robotą polityczną, ale argumentacja ta nie bardzo trafia mi do przekonania. Fakt jednak, o którym pisze „Polityka", można by jednak tłumaczyć bardzo prozaicznie. Po prostu ów stołeczny zakład miał rano trudności z nabyciem mleka, wódkę natomiast można między Bugiem a Odrą kupować bez żadnych trudności.

Ejże? I jaką? Lubelskie „Delikatesy" i wiele sklepów PSS z uporem namawia nas do większego pijaństwa. Rzadko kiedy można bowiem w sklepach znaleźć butelki — tzw. ćwiartki. Chcesz wypić — musisz, bracie wziąć pół litra. I bierz, jak leci. Eksportową, winiak, czasem wiśniak lub pieprzówkę. To już koniec repertuaru. Oj, wysłałbym dyrektora lubelskich „Delikatesów" do analogicznej placówki w Białymstoku, Kielcach czy Rzeszowie. Niechby chociaż popatrzył. I nie tylko na wodę ognistą!

A szczerze mówiąc, nie tylko jemu, ale i innym specom od naszego handlu, odpowiedzialnym za zaopatrzenie miasta, wręczyłbym blankiety delegacyjne. Niech pojadą w Polskę. Niech obejrzą sklepy w Gdańsku czy w Szczecinie, we Wrocławiu czy powiatowym Przemyślu. Ja już zmądrzałem. W koszulę zaopatruję się na Wybrzeżu, w buty — w Radomiu, w ubrania — w Łodzi... No nie, przesadzam trochę — powinien być czas przyszły: będę się zaopatrywać, gdy zacznę samodzielnie pracować. Łudzę się tylko nadzieją, że za te głupie pięć, sześć lat lubelscy handlowcy ukończą przedszkola, kilka akademii ku czci konia i przestaną wreszcie wrabiać nas w to szlachetne zwierzę. W ten upał można pofantazjować, no nie — Panie Redaktorze?

Jacek

NOTY i notki

Z SATYSFAKCJĄ ODNOTOWUJEMY, że sierpniowy numer „Poezji" jest — od strony plastycznej — poświęcony twórczości lubelskiego plastyka, Jana Ziemskiego. Poza reprodukcjami dziesięciu nowych obrazów Ziemskiego — obszerna nota krytyczna o ich autorze, pióra krytyka sztuki, Jerzego Ludwińskiego.

W PRZEDOSTATNIM NUMERZE „NASZEGO KLUBU" (miesięcznik ZMW) znaleźliśmy pokłosie comiesięcznego konkursu (nagroda: wielokolorowy długopis!) na najlepszy slogan: „Po klubie, nie będziesz miał w czubie", „Atrakcyjny ubaw, bywa tylko w klubach", „O Kongu, orędziu, sputnikach i Kubie, dowiesz się, będąc w naszym klubie", „Jeśli masz już dość, nie klubowy z ciebie gość".

Mamy dość!

NA OKŁADKACH CZASOPISM — inwazja rozebranych (do kostiumu, oczywiście) dziewcząt. Jak upozowanych!!! Szczególnie tygodniki „Przyjaźń" i „Światowid" konkurują w tej materii. Inna sprawa, że opatrzeni na prężny literacki organ Mirosława Malcharka, który od dawna podbudowuje w podobny sposób „Współczesność", staliśmy się trochę zbiazowani... Chciałoby się już, dla odmiany, trochę pouintelektualniać, a tu zewsząd tylko sex i sex.

GORZKO WYTYKA „TRYBUNA LUDU" (14.VIII br.) organizatorom sprzedaży przecenionej odzieży damskiej w Rzeszowie — brak handlowego polotu: (...) „Rzeszowski handel bowiem, gdy nawet próbował coś pokazać, nie zadbał o odprasowanie, efektowne oświetlenie i tym podobne wystawowe „drobiazgi" (...).

Nic dziwnego. Przypuszczalnie wzorowano się naiwnie na słynnych rzeszowskich „ciuchach".

„OTO DOSKONAŁY TEMAT dla reportera, który nie miał jeszcze urlopu" — pisze Jerzy Głębocki w reportażu dla „Słowa Ludu" z 13.VIII br. „Żadnych konfliktów, żadnych spraw trudnych. Stoję w niedzielne popołudnie w środku wioski i zastanawiam się właśnie, jak chwycić ten temat za rogi (...) — Niech pan zaglądnie do lochów klasztornych — radzą mi — leżą tam mnisi w białych habitach" (...) Jednak — ...„Grzeszni słudzy kościoła... — konstatuje dalej autor z humorem — nie pasują mi do pogodnego tematu, do tytułu reportażu, który już sobie umyśliłem po drodze — „Truskawki w śmietanie" (...).

A gdyby tak „Mnisi w śmietanie"? Brr...

W TYM SAMYM NUMERZE T. Wiącek zastanawia się, co by było, „Gdyby w Kielcach była scena muzyczna...". Okazuje się, że istnieją zupełnie realne szanse utworzenia w Kielcach amatorskiego teatru muzycznego. W dodatku znalazł się człowiek, który mógłby (nawet gratisowo!) zrealizować jakieś przedstawienie. Jest nim przebywający akurat w Polsce (...) „europejskiej sławy reżyser teatralny Leopold Nedomansky (...) który oświadczył m. in.: „Na stałe mieszkam w Genui. Przeciętnie reżyseruję operę od trzech do jedenastu tygodni. Myślę, że w Kielcach zrobiłbym spektakl muzyczny, w ciągu kilkunastu prób" (...).

Co Kielce to nie Zachód!

(md)

Żarty z pegazem

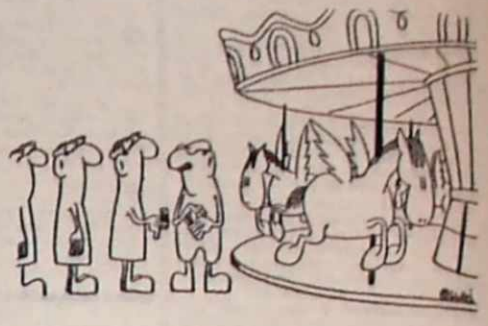

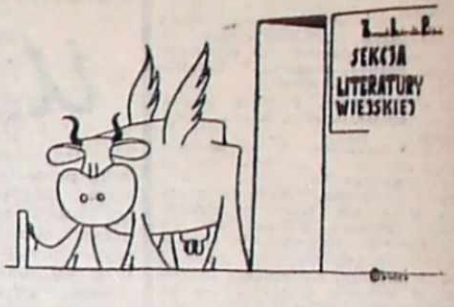

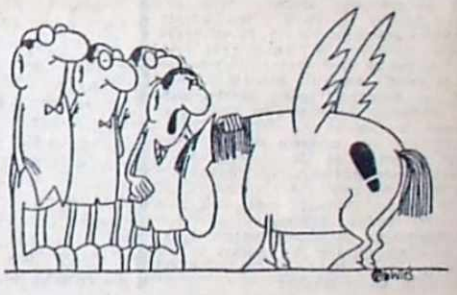

Rys. Wiesław Fuglewicz